



Władysław Urbański (1904 - 1970)

Leśniczy WŁADYSŁAW URBAŃSKI

(1904-1970)



Mój Ojciec Władysław Urbański, przez całe życie zawodowe, z wyjątkiem krótkiego epizodu kresowego, był zatrudniony w lasach państwowych będących dziś pod administracją Dyrekcji Toruńskiej. Należał do pokolenia leśników wykształconego i uformowanego duchowo w okresie międzywojennym. Powszechne w tym pokoleniu były wysokie standardy moralne i świadome pielęgnowanie tradycyjnego etosu leśnika, co w praktyce sprowadzało się do wiernej i oddanej służby polskim lasom, a tym samym oznaczało gotowość służenia ze wszystkich sił nowo odrodzonej Ojczyźnie.

Przedwojenne pokolenie leśników cechował głęboki patriotyzm. Nieprzypadkowo wielu z nich zginęło z rąk Niemców już na samym początku okupacji. Stanowili oni bowiem jedną z grup zawodowych polskiej inteligencji skazanych na eksterminację.

Wstęp

Od dawna nosiłam się z zamiarem wydobycia z pamięci, zapisania i ocalenia w jakiś sposób od zapomnienia historii rodzinnej, której główną postacią jest mój Ojciec, leśniczy Władysław Urbański (1904-1970), a współbohaterami jego żona i sześcioro dzieci. Historia leśnika jest zarazem historią jego rodziny, gdyż rzadko który zawód ma tak silny wpływ na losy najbliższych jak zawód leśnika. Jak wiadomo, wybór męża leśnika dla jego żony, a także ich dzieci, oznacza wybór określonego sposobu życia, na ogół w miejscu odosobnionym od większych skupisk ludzkich, nie tylko miejskich. Nawet wobec pobliskiej społeczności wiejskiej jest się z zewnątrz, a z własnym środowiskiem leśników i ich rodzin kontakt jest z natury rzeczy ograniczony z powodu dość dużych odległości. Codziennością jest za to bliski kontakt z przyrodą, a nawet uzależnienie od niej. Przy tym w sposób naturalny rodzina żyje sprawami lasu razem z ojcem. Nic więc dziwnego, że dzieci często kontynuują zawód leśnika, nieraz nawet przez kilka pokoleń, co ma miejsce także w naszej rodzinie. Leśnikiem był najmłodszy mój brat, też Władysław (1950-2018), a Szkołę Leśną ukończyła też jego córka, Monika. Niełatwego zadania zredagowania wspomnień podejmuję się głównie z myślą o moich pięciorgu wnukach, żeby mogły, jeśli zechcą, zaspokoić swoją ciekawość na temat rodzinnej przeszłości.

Istotnym czynnikiem mobilizującym była propozycja pana Tadeusza Chrzanowskiego, Redaktora Biuletynu Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, przygotowania tekstu do druku w bardzo interesującym dziale historycznym tego

pisma pt. „*Karty z naszej historii*”. Pokazując sylwetkę Ojca, którego pamiętam jako niezwykle uczciwego, skromnego, pracowitego, a zarazem pogodnego i życzliwego człowieka, chciałabym oddać hołd nie tylko jemu samemu, ale też jego kolegom leśnikom, z których wielu w dzieciństwie i młodości znałam, podziwiałam i lubiłam. Motywem do spisania zachowanych wspomnień była też 40. rocznica śmierci Ojca, który zmarł nagle na serce 30 marca 1970 roku, w trzy miesiące po przejściu na emeryturę, w wieku 65 lat.

Ojciec kochał las, poświęcał mu cały swój czas, zdolności i energię. Wielodzietna rodzina była dla niego też bardzo ważna, ale sprawy lasu były zawsze priorytetowe.

KRESOWE POCZĄTKI

Władysław Urbański urodził się 17 października 1904 roku w niewielkim, otoczonym pięknymi zalesionymi górami miasteczku Skole, położonym malowniczo nad górską rzeką Opór na terenie Karpat Wschodnich. W okresie międzywojennym Skole należało do powiatu Stryj w województwie stanisławowskim i stanowiło chętnie i licznie uczęszczany ośrodek wypoczynkowy, zarówno letni - z plażami i kąpieliskiem nad rzeką Opór, jak też zimowy - z zapleczem w pobliskim Sławnie. Jednak wczesne dzieciństwo i pierwszy etap edukacji szkolnej w Skolem minął Ojcu jeszcze jako poddanemu cesarstwa austriackiego. Musiał więc być świadkiem ważnych dla historii Polski wydarzeń na początku XX wieku na terenie Galicji, o czym jednak mówił rzadko. Wiedzieliśmy natomiast, że od wczesnych lat jego pasją były wędrówki po otaczających Skole górach, lasach i połoninach, latem kąpiel w rzece Opór, a zimą narty, które nie przypominały w niczym współczesnych. Stanowiły one w tych okolicach nie tylko rozrywkę, ale przede wszystkim główny środek lokomocji dla osób niemających sanek zaprzężonych w konia.

Skole było miastem wielonarodowym, w którym do czasu wojny żyli w naturalnej symbiozie Polacy, Rusini i Żydzi. Język polski był w powszechnym użyciu, a większość Polaków znała również ukraiński. Należało też znać język niemiecki, przynajmniej w stopniu elementarnym. Jego nauka była obowiązkowa w szkołach, choć językiem edukacji i urzędowym w zaborze austriackim był język polski. Podziały narodowościowe pokrywały się z religijnymi, co jednak wcale nie oznaczało wzajemnej wrogości. Oprócz kościoła katolickiego była w miasteczku stara piękna cerkiew grekokatolicka i synagoga - każdy czcił Pana Boga po swojemu we własnej świątyni, a każda z nich była przez wszystkich otaczana szacunkiem. Było powszechnym zwyczajem, że grekokatolicy, przechodząc koło kościoła katolickiego, żegnali się swoim znakiem krzyża, a katolicy przed ich cerkwią swoim. Było też w zwyczaju wzajemne składanie sobie życzeń przez sąsiadów innowierców z okazji świąt, które wypadały przecież w różnych terminach. Na ten temat zachowała się pewna anegdotka. Przechodzącego adwokata Polaka pozdrawia sąsiad Żyd,

mówiąc: „Panie mecenasie, wszystkiego najlepszego z okazji dzisiejszego święta”. Na co roztargniony adwokat: „Dziękuję, ale jakie to dziś święto?” Na co Żyd: „No przecież Napoczęcia Matki Boskiej!” Jak sądzę, w takich właśnie warunkach ukształtowała się w sposób naturalny postawa tolerancji Ojca wobec inności religijnej i narodowej.

Był najstarszym synem kuśnierza, Franciszka Urbańskiego (1877-1947), który szył lekkie i zgrabne, słynące z urody, bogato i pięknie wyszywane kożuszki huculskie, powszechnie noszone w tamtych stronach. Pamiętam, jak później, kiedy dotarliśmy do dziadków w czasie naszej ucieczki przed Niemcami na początku II wojny światowej, dziadek uszył dla nas, tzn. dla mnie, mego starszego brata, Henryka, i naszej Mamy, takie ciepłe kożuszki, które bardzo się przydały w nadchodzącej biednej zimie i później, w czasie okupacji, dopóki z nich nie wyrosliśmy. Wrócę jeszcze poniżej do okoliczności naszej wędrówki w pierwszej połowie września 1939 roku, kiedy Ojciec był na froncie, a Mama wiozła nas, dwoje małych dzieci (brat 5 lat, a ja 2 i pół roku), do dziadków do Skolego spod Tucholi, czyli z północy Polski po przekątnej, na jej południowo-wschodnie kresy, częściowo bombardowanymi pociągami, a częściowo furmanką przez świeżo opuszczone pola walk, dosłownie wśród stosów poległych żołnierzy i trupów koni.

Co do edukacji ojca, to zdaniem babci Urbańskiej, która bardzo dbała o wykształcenie swoich dziewięciorga dzieci, wymienione rozrywki pochłaniały Ojca bardziej niż nauka w szkole, do której nie przykładał się podobno specjalnie. Niemniej jednak, skończył z powodzeniem Szkołę Powszechną w Skolem oraz zdał egzamin do Gimnazjum we Lwowie, gdzie już w niepodległej Polsce, w 1921 roku ukończył V klasę, co odpowiadało ówczesnej tzw. „małej maturze”. W tym momencie rodzice postanowili skierować syna do nauki zawodu leśnika. Być może, zauważyli jego zamiłowanie do spraw lasu i mały entuzjazm do dalszej edukacji ogólnokształcącej o profilu humanistycznym. Miałam później często okazję się przekonać, że poziom nauczania gimnazjalnego w przedwojennej Polsce musiał być wysoki. Ojciec znał np. dobrze łacinę i nawet w późniejszym wieku zwykle wygrywał ze mną, humanistką, w konkursie na słówka łacińskie.

Decyzja kształcenia Ojca na leśnika zapadła w 1922, ale nie wysłano go w tym celu od razu do szkoły dla leśników. Zatrudnił się najpierw jako praktykant w lasach prywatnych otaczających Skole, które było też dużym ośrodkiem gospodarki drzewnej. Lasy te należały do braci Groedel, a oficjalna nazwa ich administracji brzmiała: Dyrekcja Lasów i Dóbr Państwa Skole, Bracia Groedel. W czasie tej praktyki, w miejscowości Demia Wyżna, oprócz przyswajania sobie tajemnic zawodu leśnika, Ojciec stał się też zapalonym myśliwym. Wspominał czasem tamtejsze polowania na grubego zwierza, m.in. na niedźwiedzia. Dopiero po trzech latach praktyki został przyjęty do Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Bolechowie, którą skończył w 1926 roku. Zachowało się szczęśliwie zdjęcie, na którym sfotografowani



Absolwenci Szkoły dla Leśniczych w Bolechowie, rok 1926. Władysław Urbański w drugim rzędzie od góry, pierwszy z lewej. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

są absolwenci i nauczyciele rocznika 1925/26. Wśród absolwentów jest też na zdjęciu Franciszek Myśliwiec, zatrudniony później, podobnie jak ojciec, jako leśniczy w Nadleśnictwie Woziwoda, w którym był równocześnie leśniczym inny, starszy absolwent Bolechowa, Henryk Kaczkowski.

Po skończeniu Szkoły w Bolechowie Ojciec odbył roczną (od 1 października 1926 do 31 sierpnia 1927) obowiązkową praktykę jako pomocnik leśny w Nadleśnictwie Jezioro, należącym do Dyrekcji Wileńskiej. Przez kolejne trzy lata, od września 1927 do października 1929, odbywał służbę wojskową w 2. Pułku Łączności w Jarosławiu. Później musiał uczestniczyć w jakichś ćwiczeniach wojskowych w Grudziądzu, gdyż zachowało się zdjęcie Ojca z grupą żołnierzy, na którym jego ręką jest naniesiony napis: Grudziądz 1932. We wrześniu 1939 roku Ojciec brał udział w działaniach wojennych jako szeregowiec piechoty 2. Pułku Łączności w czwartej kompanii telegraficznej, a więc zgodnie z nabytym 10 lat wcześniej wyszkoleniem.

OKRES POPRZEDZAJĄCY II WOJNĘ ŚWIATOWĄ

W 1929 roku, kończąc służbę wojskową, Ojciec miał 25 lat. W tym momencie następuje zasadniczy zwrot w jego życiu. Opuszcza ukochane Kresy i przenosi się na Pomorze, z którym, wyjąwszy okres okupacji, zwiąże się na resztę życia. Musiała to być dla niego bardzo trudna decyzja. Oprócz oderwania od rodziny, z którą był

bardzo zżyty, doszły różnice w mentalności i zwyczajach ludzi, z którymi będzie się stykał na co dzień. Nie zdajemy sobie już dziś sprawy z tego, jak głębokie różnice dzieliły wtedy ludzi pochodzących z różnych dzielnic Polski, zjednoczonej po trwającym 123 lata okresie zaborów. Wyczuwałam je jeszcze wyraźniej w młodości. Ojciec musiał te trudności jakoś przezwyciężyć. Propozycja zatrudnienia w Dyrekcji Bydgoskiej Lasów Państwowych miała prawdopodobnie związek z tym, że po odzyskaniu niepodległości na Pomorzu, jak i w całym dawnym zaborze pruskim, zaznaczyły się wielkie potrzeby kadrowe w organizującej się polskiej administracji, w tym też w Lasach Państwowych. Poszukiwano wykształconych kandydatów na leśników wszędzie tam, gdzie Polacy mieli szerszy niż w zaborze pruskim dostęp do edukacji, a więc przede wszystkim na terenach dawnej Kongresówki i Galicji.

Ojciec od razu trafił w Bory Tucholskie. Zatrudniony jako pomocnik leśny, pracował najpierw w Nadleśnictwie Różanna, w okolicach Świecia, potem przez dwa lata (1930-32) pracował, początkowo jako kancelista, a następnie leśniczy w Nadleśnictwie Świt koło Tucholi. Tam poznał swoją przyszłą żonę, Jadwigę z domu Woźniewską, kiedy to jako działaczka Sodalicii Mariańskiej w Tucholi przyjechała do Świtu w okolicach Bożego Narodzenia po choinki potrzebne do organizowanej przez to chrześcijańskie stowarzyszenie kobiet jakiejś imprezy charytatywnej. Ślub rodziców odbył się w Tucholi w 1933 roku. Ojciec pracował już wtedy w Nadleśnictwie Cierpiszewo pod Toruniem.

Pierwsze swoje samodzielne leśnictwo, położone na terenie ówczesnego Nadleśnictwa Popioły, w pobliżu Torunia, objął w 1934 roku i pracował w nim jako leśniczy do 1938 roku. Na przedwojennej mapie było ono oznaczone jako Wódek (wcześniej na niemieckiej Wodeck), a w tradycji rodzinnej funkcjonowała forma liczby mnogiej - Wódki. W tym czasie przyszło na świat dwoje dzieci - syn Henryk (1934-1998) i córka Maria (1937), w związku z czym rodzice zaczęli się trwalej urządzać w leśniczówce, która była dość skromnym, ale wygodnym murowanym budynkiem, z uroczą drewnianą werandą przy głównym wejściu.

Z tego okresu nie mogę oczywiście niczego pamiętać, ale zachowały się trzy zdjęcia: na jednym siedzimy z bratem na progu werandy, na drugim są robotnicy leśni, zebrani dla uczczenia „IX Pamiątki pracy w Leśnictwie Wódek”, jak głosi transparent, a wśród nich my z bratem i mamą, a na trzecim rodzice w towarzystwie dwóch kolegów Ojca spacerują po ul. Szerokiej w Toruniu, wszyscy rozesiłani. Mama lubiła się ładnie ubierać, wspominała więc czasem popularny wtedy w Toruniu magazyn pięknej damskiej konfekcji, mieszczący się na rogu Starego Rynku nr 36/37, o nazwie Dom Handlowy M.S. Leiser, którego ówczesnym właścicielem był bogaty kupiec żydowski Leon Kopf. Oprócz tego zachowała się też w rodzinie pamięć o podróżach, przedsięwziętych przez rodziców na rowerach razem z nami (zapewne w czasie urlopu Ojca) na trasie z Leśnictwa Wódki w odwiedzinach do babci Woźniewskiej w Tucholi. Odległość wynosi ok. 100 km. Jakoś trzeba



Załoga Nadleśnictwa Świt w Borach Tucholskich, rok 1932. Stoją od lewej leśniczowie: Konrad Hwózdź, Stefan Kuciej, Józef Cichy, Jan Koziotek i Władysław Urbański, w środku siedzi nadleśniczy Aleksander Janicki. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Ślub Władysława Urbańskiego i Jadwigi Woźniewskiej w Tucholi w 1933 roku. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Leśniczy Urbański z żoną Jadwigą (stoją pośrodku) i grupa robotników leśnych w Leśnictwie Wódek, Nadleśnictwo Popioły pod Toruniem w 1938 roku. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej
Dzieci leśniczego Urbańskiego - Maria i Henryk - na progu leśniczówki Wódek, rok 1938. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej





Władysław Urbański z żoną (w środku) z kolegami z Nadleśnictwa Popioły, na ul. Szerokiej w centrum Torunia, rok 1938. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

było na tych rowerach wieźć dzieci i bagaże, a poza tym chyba gdzieś nocować, bo trudno sobie wyobrazić, żeby to była podróż jednodniowa.

Kolejna przeprowadzka była powrotem w Bory Tucholskie, które Ojciec poznał już wcześniej, pracując w Nadleśnictwie Różanna, a przede wszystkim Świt. Od 1 października 1938 roku, ostatniego roku przed wojną, Ojciec został mianowany leśniczym w Leśnictwie Barłogi na terenie Nadleśnictwa Woziwoda. Przydzielone leśnictwo było trudniejsze, ale bardzo piękne i zadbane, zarówno jeśli chodzi o las, jak i zabudowania. Obejmowało ono jednolity drzewostan sosnowy, porastający piaszczyste tereny sandrowe w lewobrzeżnym dorzeczu Brdy, w sercu Borów Tucholskich. Nie ominęła go plaga sówki choinówki, która nawiedziła Bory Tucholskie w roku 1938. Po walce z nią została w starszych drzewostanach pamiątka - czarne opaski na pniach drzew, mniej więcej na wysokości człowieka. Obszar leśnictwa nie był bardzo duży i rozciągał się dość regularnie wokół centrum, którym była leśniczówka, co ułatwiało Ojcu sprawne poruszanie się po terenie, przeważnie pieszo lub rowerem. Na północy tereny leśnictwa graniczyły z polami i łąkami oddalonej o 3 km wsi Rzepiczna i dalej z leśnictwami Zwierzyńiec i Wilcze Doły, należącymi już do Nadleśnictwa Twarożnica, na zachodzie z gminną wsią Legbąd i leśnictwem o tej samej nazwie, na południu dochodziły

do wsi Biała i Leśnictwa Biała. Najbardziej oddalony był odcinek wschodni, rozciągający aż po Okoniny.

Położenie domu i zabudowań gospodarczych leśnictwa Barłogi jest niezwykle malownicze. Nie będzie dużej przesady w stwierdzeniu, że dane nam było żyć w jednym z najpiękniejszych i najbardziej czarujących miejsc, jakie znam. Natychmiast się w nim zakochaliśmy. Leśniczówka położona jest na wzniesieniu tworzącym rodzaj przesmyku. Dominuje on ze strony wschodniej nad dość rozległą i wydłużoną doliną, w której wije się wśród podmokłych łąk rybna rzeczka Zwierzynka, a od strony zachodniej nad mniejszym paskiem łąk, przylegających do jeziora Bielinieć, z którego wychodzi na te łąki strumień, nazywany przez nas Rowem. Do obu tych dolin schodzą łagodnie zbocza, na których znajdowało się piaszczyste orne pole, należące do leśniczówki, obecnie zalesione. Skrajem zbocza zachodniego przechodzi koło leśniczówki droga wychodząca z lasu na górce od strony wsi Biała (od południa). Zniża się następnie trochę do mostka nad wspomnianym Rowem i zaraz potem wspina się ku północy na przeciwległą małą górkę, gdzie wchodzi znów w las, aby się zaraz rozwidlić i poprowadzić w lewo do wsi Barłogi (i dalej do Legbąda), a w prawo do wsi Rzepiczna, gdzie znajdowała się najbliższa szkoła (i dalej w kierunku Czerska).

Od tej drogi do bramy w ogrodzeniu leśniczówki podchodzi dwoma odnogami podjazd, do którego dom jest ustawiony zachodnim szczytem. Są w nim drzwi gospodarcze, a wejście główne do domu znajduje się w środkowej części frontowej od podwórza. Całe wzniesienie jest wystarczająco obszerne, by pomieścić swobodnie wszystkie trzy budynki rozmieszczone wokół dość dużego podwórza. W sadzie za domem rosły wysokie stare wiśnie, kilka śliw, dwie lipy, a obok nich duże krzewy bzu. Między drewnianym płotem, otaczającym podwórze i sad, a drogą było sporo klonów, które przetrwały do dziś. Poniżej, niedaleko mostku rósł stary świerk. Dom mieszkalny i duża stajnia były z czerwonej cegły, nieotynkowane, jak wiele innych leśniczówek, zbudowanych pod koniec XIX wieku przez Niemców na tych terenach. Naprzeciw domu, po przeciwnej stronie podwórza stoi również dziś duża drewniana stodoła. Wewnątrz budynków wszystko było urządzone dla wygody mieszkańców, z właściwym Niemcom zmysłem praktycznym. Widziałam wiele takich leśniczówek i nadleśnictw, ale rozplanowanie całości w Barłogach nie ma sobie równych, jest absolutnie harmonijne i proporcjonalne, doskonale przemyślane, jeśli chodzi o układ przestrzenny.

Ojciec musiał widzieć wcześniej to leśnictwo, Mama prawdopodobnie też. Na początku października 1938 roku, kiedy stoimy całą czwórką w nowym miejscu i oglądamy je, zamieramy z zachwytu. Czujemy, że to miejsce ma w sobie coś magicznego. Czy przeczuwamy, że stanie się ono dla nas właściwie gniazdem rodzinnym? Że urodzą się tu kolejne dzieci? Dziś wiadomo, że to nastąpi, ale nie od razu. Tymczasem cieszymy się pięknem tego miejsca. Rodzice są młodzi i pełni

nadziei na przyszłość. Nie wiedzą jeszcze, że mamy przed sobą zaledwie jeden szczęśliwy rok, że wkrótce wszystko zostanie zniszczone przez tryby wojny, że czeka nas upokarzająca tułaczka, a piękny dom odnajdziemy po wojnie splądrowany i zbezczeszczoney. Nawet nasz stary świerk zostanie ranny, ciężki pocisk odrąbie mu całą jego piękną górną część. Jednak przez najbliższy rok rodzice zdążą zapaść w Barłogach korzenie, poznać miejscowych ludzi i zaprzyjaźnić się z nimi. Ojciec wyrobi sobie dobrą pozycję zawodową w nadleśnictwie jako ceniony leśniczy i da się poznać jako doskonały myśliwy. W zawodach urządzanych w Tucholi w strzelaniu do rzutków zdobywa często główne trofea. Zdobią one ściany jego gabinetu obok licznych drobnych i większych wypchanych ptaków, które patrzyły na mnie i na brata z góry i zawsze nas intrygowały. Jak wiadomo, rok 1939 był niezwykle urodzajny, ojciec zdąży zadbać o zasianie deputatowego pola i zebrać z niego takie plony, że stodoła i piwnica pękają w szwach, a Mama zapełnia spiżarnię zapasami na zimę. Latem przyjeżdżają do nas krewni i przyjaciele rodziców. Wszyscy pracują, cieszą się i bawią, ale czują już grozę sytuacji.

UCIECZKA

Nadchodzi koniec sierpnia 1939 roku, Ojciec dostaje wezwanie do wojska i opuszcza nas, by stawić się w punkcie zbiorczym swojej jednostki. Przedtem nadleśnictwo wypłaciło swoim pracownikom pensje za kilka miesięcy naprzód. Rodzice postanawiają, że matka podąży z nami na wschód i postara się dotrzeć do rodziców Ojca, do Skolego. Obranie tego kierunku ucieczki przed Niemcami było masowe, wiele polskich rodzin instynktownie uciekało na wschód, nawet jeśli nie miało tam krewnych. Zresztą, było to racjonalne przy ówczesnym stanie umysłów. Rodzice, jak wszyscy wtedy, myśleli, że wojna szybko się skończy, i wyznaczyli sobie spotkanie w Skolem za miesiąc, najdalej dwa. Mama zawiesiła sobie woreczek z pieniędzmi na szyi, zapakowała do walizki najpotrzebniejszy bagaż podróżny, a na plecy zarzuciła węzełek z dużej wełnianej chusty, w której zawiązała pościel dla dzieci. Drzwi leśniczówki zamknęła na klucz, klucze zostawiła u zaufanych ludzi, polecając dom ich opiece, i ruszyła z nami w drogę w pierwszych dniach września.

Trudno mi odtworzyć szczegółowo kronikę naszej ucieczki, dokładny przebieg trasy, daty poszczególnych etapów, czy choćby ściśłą kolejność faktów. Miałam wtedy dwa i pół roku i pamiętam tylko przez mgłę niektóre sceny z naszej peregrynacji, trwającej, jak sądzę około dwóch tygodni. Niektóre przeżycia były jednak tak silne i traumatyczne, że utrwaliły się jakby na kliszy fotograficznej w pamięci dzieci, czemu zapewne sprzyjały opowiadania Mamy, tym bardziej że były powtarzane kilka razy, zwykle w naszej obecności. Najpierw opowiadała przebieg wydarzeń rodzinie Ojca bezpośrednio po naszym dotarciu do Skolego, a następnie po powrocie do Tucholi swojej rodzinie, wreszcie Ojcu, po jego powrocie z niewoli

w maju 1940 roku. Myślę więc, że to moje świadectwo, choć bardzo fragmentaryczne, warto mimo wszystko przedstawić, gdyż stanowi ono część polskiej pamięci zbiorowej. Przemieszczanie się ludności na terenie Polski we wrześniu 1939 roku było bowiem bardzo intensywne i dotyczyło też wielu rodzin leśników. Niestety, niektórzy z ucieczki już nie wrócili, gdyż naloty lotników niemieckich na pociągi i konwoje uciekinierów były szczególnie zaciekle.

Pierwszy etap podróży, z Tucholi do Chełma Lubelskiego, odbyliśmy pociągami pełnymi takich jak my uciekinierów. Przypuszczam, że pasażerowie zmierzający w kierunku Lwowa byli kierowani trasami omijającymi Warszawę, o którą toczyły się wtedy zaciekle boje. Prawdopodobnie pierwsza część podróży odbyła się, przynajmniej na niektórych odcinkach, w miarę normalnie, jeśli nie liczyć zatłoczenia, konieczności częstych przesiadek i wyczekiwania na możliwość objazdu w miejscach, gdzie były zniszczone mosty czy toczyła się właśnie bitwa. Jednak największe zagrożenie w czasie tej podróży czyhało z powietrza. Prawdziwą zmorą były bowiem ataki lotników niemieckich na pociągi, cywilne czy wojskowe, bez różnicy. Nie wiem, czy załogi pociągów były jakoś ostrzegane o zbliżających się napastnikach, w każdym razie, maszynista na odgłos nadlatujących samolotów z reguły zatrzymywał pociąg i wszyscy w panice uciekali, chroniąc się w tym, co akurat było w pobliżu - w lesie, w polach jeszcze niezembranych buraków, w miedzach, w zaroślach czy choćby pod jakimś samotnym drzewem. Nadlatujące z hukiem samoloty zniżały maksymalnie lot, bombardowały pociąg i ostrzeliwały bezbronnych cywilów. Często zawracały i atakowały ponownie. Lotnicy niemieccy wręcz polowali na ludzi jak na króliki. Sztukę krycia się opanowaliśmy wkrótce z bratem do perfekcji, a Mama nie zapominała o tobołku z pościelą, którym nas przykrywała, kiedy przypadaliśmy do ziemi - dla ochrony przed kulami, jak mówiła. Myślę, że robiła to raczej dlatego, żebyśmy się mniej bali w momencie ataku. Przeżyliśmy takich nalotów kilka, a razem z fałszywymi alarmami chyba kilkanaście, i niestety, byli wśród pasażerów ranni i zabici.

Po dotarciu do Chełma Lubelskiego okazało się, że dalsza podróż kolejną nie jest możliwa na skutek toczących się na tych terenach krwawych walk. Na nocleg przyjął nas pewien Żyd, a naszą kwaterę w jego skromnym domu dzieliliśmy z żołnierzami polskimi.

Sytuacja panująca dalej na naszej drodze z Chełma do Skolego była wysoce niebezpieczna i niebezpieczna nie tylko dlatego, że toczyły się tam działania wojenne, ale też z powodu rozpoczęcia aktywności wrogich wobec Polaków ukraińskich organizacji nacjonalistycznych. Mimo to Mama uznała, że nie ma wyboru, musi jakoś dotrzeć do dziadków, tym bardziej że zasoby wiszącego na szyi woreczka topniały w szybkim tempie. Zostało nam jeszcze dobrze ponad 100 km. Wynajęła więc furmankę, której właściciel, ubogi Żyd z Chełma, zgodził się nas dowieźć do umówionego miejsca. Był to stary człowiek, prosty, ale niezwykle miły, pogodny i o dobrym

sercu. Zadbał o naszą wygodę i wymościł stosem owczych skór swój zaprzężony w marną szkapinę pojazd, a w drodze dużo z nami rozmawiał, starając się dodać nam otuchy. Z tego odcinka podróży mam w pamięci obraz drogi przez las, przy której leżało wielu martwych żołnierzy w mundurach. Zwłoki były dość równo poukładane w szeregi przy drodze, zapewne w oczekiwaniu na pochowanie. Głębiej w lesie widziało się dość dużo trupów koni o wzdętych brzuchach i porzuconą broń. Mama starała się nam zaoszczędzić tego widoku, zmuszała nas do leżenia w skrzynce wozu (sama siedziała obok woźnicy na ławeczce) i przykrywała nas aż po głowy skórami, pod którymi nie sposób było jednak wytrzymać z powodu gorąca i mieszkających w nich rojów pcheł. Nie mam pewności, czy nasz miły woźnica dowiózł nas aż do kresu podróży, czy też przesiadaliśmy się jeszcze na jakimś pośrednim etapie do innego środka lokomocji, w każdym razie dotarliśmy w końcu do Skolego ku wielkiemu zaskoczeniu i zdziwieniu, ale też radości Dziadków i całej rodziny, która nie była o niczym uprzedzona.

Tymczasem losy wojny były już przesądzone, a liczna rodzina dziadków, podobnie jak wszyscy Polacy w Skolem i na całych Kresach południowo-wschodnich przeżywali dramatyczne chwile. Oprócz bolesnego poczucia klęski w wojnie z Niemcami już w pierwszych dniach wojny zaczęli doświadczać aktów wrogości ze strony siejących postrach grup Ukraińców, rekrutowanych przez nacjonalistyczne organizacje ukraińskie głównie spośród ubogiej ludności wiejskiej i podmiejskiej. Ich aktywność w kolejnych okresach okupacji hitlerowskiej i sowieckiej nasilała się, a metody eksterminacji ludności polskiej stawały się coraz bardziej bezwzględne. Według wspomnień siostry ojca, Marii Barańskiej, już na początku września bandy chłopów ukraińskich, korzystając z ogólnego chaosu i w poczuciu zupełnej bezkarności, zaczęły mordować Polaków, zwłaszcza po wsiach, i rabować ich mienie. Pogrzeby odbywały się w Skolem, a ludzie żyli w poczuciu ciągłego zagrożenia. Po przejściu w dawnej Galicji władzy przez Związek Radziecki na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, akty terroru ze strony ukraińskiej nasiliły się, a apogeum osiągnęły w 1942/43 roku, po ponownym wkroczeniu Niemców na te tereny. Ich ofiarą padł również młodszy brat ojca, Tadeusz (1923-1943), który został uprowadzony i zamordowany, gdyż udzielał się w zorganizowanej w Skolem samoobronie przeciw akcjom bojówek UPA.

Jak wspomina ciocia Barańska, realizacja postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow w Skolem odbyła się w ten sposób, że wojsko niemieckie wycofało się z miasteczka 17 września, a wojsko sowieckie wkroczyło do niego następnego dnia po południu. Przez jedną dobę Skole zostało więc pozbawione jakiegokolwiek ochrony. Polacy przeżyli noc grozy, gdyż wiedzieli o planowanym na nich napadzie. O północy z 17 na 18 września zaczęły bić dzwony w cerkwi, co było sygnałem do rozpoczęcia akcji. Okoliczni chłopcy ruszyli masowo na miasto, uzbrojeni w prymitywne narzędzia - widły, kosy, siekiery, noże itp. Przestraszeni Polacy

zwrócili się o pomoc do stacjonującego jeszcze niedaleko Skolego oddziału Niemców, którzy zapobiegli terrorowi.

Na powitanie wkraczającego 18 września 1939 roku do Skolego wojska sowieckiego wyszło trochę miejskiej biedoty i robotników o sympatiach komunistycznych. Ci ostatni, ubrali się na tę okazję odświętnie, w swoje niedzielne czarne garnitury. Ich wygląd z miejsca wzbudził nieufność marnie ubranych i źle wyposażonych żołnierzy radzieckich, którzy zwątpili w autentyczną proletariackość osób witających. Zresztą, witających też nie zachwycił widok posłańców rajy zapowiadanego w ulotkach propagandowych poprzedzających wkroczenie Armii Czerwonej. Wkrótce Skole i cała ziemia lwowska została przyłączona, jak się okazało, na razie na dwa lata, do Republiki Ukraińskiej utworzonej już wcześniej w ramach ZSRR z terenów Ukrainy wschodniej. W mieście dość szybko zainstalowała się władza sowiecka, a NKWD stało się panem życia i śmierci Polaków. Zaczęły się masowe zsyłki na Sybir, które były podstawowym sposobem oczyszczania tych ziem z ludności polskiej, szczególnie inteligencji. Na listach ofiar znalazły się na pierwszym miejscu rodziny oficerów, policji, straży celnej, nauczycieli, lekarzy, aptekarzy, urzędników państwowych, a także księży. Na miejsce rodzin polskich przywożono rodziny sowieckie. Zasielano nimi domy wywiezionych Polaków, z których wielu nie wróciło już nigdy z zesłania. Rodzina dziadka, który był rzemieślnikiem, szczęśliwie uniknęła losu krewnych i sąsiadów, choć przez dłuższy czas żyła w ciągłym strachu, czekając na swoją kolej i trzymając spakowane rzeczy w pogotowiu pod stołem.

W czasie naszego pobytu w Skolem przyszła wiadomość od Ojca, że na początku października dostał się do niewoli niemieckiej i jest więziony w niemieckim obozie jenieckim. Nie było już żadnego powodu zatrzymywać się dłużej w Skolem. My z Mamą, jako mieszkańcy terenów, które przypadły Niemcom w podziale Polski między Hitlera i Stalina, mieliśmy u Sowietów status obcokrajowców, obywateli Reichu, zaprzyjaźnionego wówczas z ZSRR. Mogliśmy więc bez większych przeszkód wyjechać ze Skolego, kiedy tylko zaczęła w miarę normalnie funkcjonować kolej. Opuszczaliśmy wkrótce Skole pełni niepokoju o dziadków, ciecie i stryjków, których tam zostawiliśmy.

OD JESIENI 1939 DO LATA 1942

Droga powrotna odbyła się prawdopodobnie dość sprawnie. Leśnictwo zastaliśmy w dobrym stanie i mogliśmy w nim nawet zamieszkać bez Ojca, za zgodą nadleśnictwa. Mama zaczęła starania o zwolnienie Ojca z niewoli. Jednak nadzieja na normalne życie trwała niestety bardzo krótko. W pewien listopadowy dzień zjawił się w Barłogach Niemiec o nazwisku Klein. Do dziś mam w oczach tę złowrogą postać, choć w istocie był to drobny człowieczek, ubrany w pumpy, marynarkę i tyrolski kapelusz, wszystko w kolorze wojskowej zieleni. Oświadczył Mamie, która знаła niemiecki, że odtąd on obejmuje nasze leśnictwo, że wkrótce wróci z rodzi-

ną, a my mamy do tego czasu opuścić dom. Wolno nam zabrać tylko dwie walizki osobistych rzeczy. Obejrzał i zinwentaryzował zawartość wszystkich pomieszczeń w domu i w zabudowaniach gospodarczych, ucieszył się ze stodoły pełnej po dach niewymłóconych snopków. Sformułował jakieś groźby na wypadek, gdyby Mama nie dostosowała się do jego życzeń, i wyjechał. Mama zaczęła się przygotowywać do opuszczenia domu i zastanawiać się, co może zabrać. W trudnych sytuacjach wykazywała zawsze dużo hartu ducha i czasem wręcz brawury. Tym razem też nie zamierzała zbyt ściśle przestrzegać zaleceń naszego prześladowcy, którego w warunkach pokoju uznaloby się po prostu za bandytę. Musiała jednak zostawić wszystkie meble, bieliznę pościelową i zastawę stołową, spiżarnię i piwnicę zapełnioną zapasami oraz cały inwentarz. Oprócz rzeczy osobistych zabrała trochę pościeli i naczyń oraz książek. Zebrało się tego na jedną furkę, czyli jednak trochę więcej niż dwie walizki. W tym samym czasie my z bratem nieświadomie dokonaliśmy czynu, który mógłby uchodzić za akt patriotyczny, ale mógł się też źle skończyć dla rodziny.

Otóż nasza ciocia Zosia z Tucholi, siostra Mamy, podarowała bratu zapalniczkę. Jak może dorosły człowiek obdarzyć niespełna sześciolatnie dziecko zapalniczką, pozostanie jej tajemnicą. Oczywiście, szczęśliwy posiadacz zapalniczki postanowił ją wypróbować i długo się zastanawiał, jak to zrobić. Młodsza od niego o trzy lata, byłam jedyną osobą wtajemniczoną w jego plany, zdaje się, że nawet z głosem doradczym. Z kilku rozważanych wariantów został przyjęty następujący: wsunie się pęczek słomy w otwór, wycięty dla kieratu w dolnej części drewnianych wrót stodoły, i spróbuje się, czy płomień zapalniczki podziąła. Miejsce było dogodne dla pełnej konspiracji, bo otwór był w tylnej ścianie stodoły, niewidocznej od podwórza dla czujnych oczu Mamy. Wkrótce cała stodoła stała w płomieniach, a że był już zmierzch, iluminacja była widoczna w promieniu dobrych kilku kilometrów. My z bratem uciekliśmy w panice do ogrodu za domem, gdzie nas Mama odnalazła płaczących głośno i krzyczących, że nie chcieliśmy. Ludzie, którzy się zbiegli z sąsiednich wsi do gaszenia pożaru, skoncentrowali się już tylko na chronieniu domu przed zajęciem się, podobnie jak przybyła straż pożarna chroniła sąsiedni las. Rano po stodole nie zostało nic prócz popiołu, w którym tlił się jeszcze żar.

A potem zrobiło się jeszcze groźniej. Mama była wzywana na przesłuchania przez policję niemiecką jako podejrzana o sabotaż. Czyn taki Niemcy kwalifikowali jako „zbrodnię” i groziła za to kara śmierci. Mama nie kwestionowała tezy Niemców, że to sabotaż, jej linia obrony polegała na nieprzyznawaniu się do winy. Raz wezwali Mamę razem z nami, częstowali nas cukierkami i nakłaniali do przyznania się do winy. Cukierki były wtedy niedostępne dla polskich dzieci, więc kiedy brat usłyszał: „Dam ci całą tę torebkę, jeśli się przyznasz”, powiedział: „Tak, to ja zrobiłem”. Mama obsztorcowała Niemca za stosowanie takich metod. Po jakimś czasie dali nam spokój. Może mieliśmy szczęście trafić na ludzkiego Niemca, a może w tym czasie oni nie mieli jeszcze tak dobrze zorganizowanej maszyny represyjnej.

W każdym razie nikt nie poniósł kary za nasz czyn. Zaraz potem opuściliśmy leśniczówkę, a Herr Klein po przybyciu musiał się obyć bez naszych zbiorów zboża. Wkrótce stodołę odbudował i okupował naszą leśniczówkę do zimy 1944/45, kiedy to uciekł przed zbliżającą się Armią Czerwoną.

Wypędzonych z leśniczówki, przyjął nas do siebie miejscowy Niemiec o nazwisku Teclaw, który był już przed wojną właścicielem sklepu kolonialnego we wsi Rzepiczna. Mieszkał z rodziną w piętrowym domu z czerwonej cegły, dość obszernym. Oddał nam na parterze obok sklepu jeden pokój z kuchnią, gdzie mieszkaliśmy do 1942 roku. Był to człowiek powszechnie lubiany, i mimo że był Niemcem, pomagał Polakom, jak mógł, m.in. mieliśmy otwarte konto w jego sklepie, a czasem ostrzegał nas przed wizytami osób, które mogły donosić Niemcom, np. że wbrew zakazowi rozmawiamy po polsku. Naprzeciw była szkoła, w której nauczycielem był sprowadzony w 1939 roku z Reichu Niemiec, prawdziwy sadysta. Znęcał się nad dziećmi za to, że nie mówiły po niemiecku. Spotkało to mego brata, który w 1941 osiągnął wiek szkolny i został skatowany przez tego nauczyciela za to, że na przerwie mówił po polsku. Wrócił do domu z plecami całymi w czerwonych pręgach, tak że przez tydzień mógł leżeć tylko na brzuchu. Te doświadczenia zrodziły w nas głęboką niechęć do tego języka.

Ojciec był w tym czasie ciągle w niewoli, a Mamie pozwolono wysyłać mu niewielkie ilości żywności i ubrań w dość długich odstępach czasu. Zaczął tam poważnie chorować, więc Mama podjęła usilne starania o wydobycie go z tego obozu, m.in. zwracała się z prośbą o pomoc do Niemca, który był w tym czasie nadleśniczym w Gołąbku koło Tucholi. W wyniku tych starań Ojciec wyszedł 16 maja 1940 roku z obozu, w którym przebywał prawie osiem miesięcy. Wrócił bardzo chory, musiał się leczyć. Na spotkanie z nim pojechaliśmy do Tucholi, miało ono miejsce u babci Woźniewskiej. Na pewno starał się wtedy o zatrudnienie w lasach, ale było to niemożliwe, m.in. dlatego, że uparcie odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek grupy narodowościowej niemieckiej. Niedługo po powrocie z obozu został wysłany do pracy przymusowej. Przez kolejne dwa lata, aż do wiosny 1942 roku był robotnikiem portowym w Gdańsku, musiał ciężko pracować fizycznie, zdecydowanie ponad swoje siły. Dźwigał różne ciężkie ładunki na plecach, m.in. w porcie rzeczonym koło gdańskiego Żurawia. Zaczął się wtedy starać o pozwolenie na wyjazd do Generalnej Guberni, argumentując, że stamtąd pochodzi i ma tam rodzinę. Zresztą, było to na rękę Niemcom, którzy z własnej inicjatywy stosowali metodę wysiedlania z Pomorza do Generalnej Guberni nie tylko Żydów, ale też niepożądanych, z punktu widzenia ich polityki narodowościowej, grup ludności polskiej.

W GENERALNEJ GUBERNI

Pozwolenie na przesiedlenie do Generalnej Guberni wraz z rodziną otrzymał Ojciec latem 1942 roku. Prawdopodobnie było to przeniesienie ze wskazaniem

miejsca pracy w Nadleśnictwie Trójca (do II wojny teren ten leżał w granicach Nadleśnictwa Dobromil, Dyrekcja LP we Lwowie) w powiecie Dobromil, w dawnym województwie lwowskim. Znow znalazliśmy się w przepięknych okolicach. Trwała już wojna Niemców z ZSRR, tereny nadleśnictwa znajdowały się znow pod okupacją niemiecką, odkąd Niemcy wypędzili stąd, tym razem zbrojnie, Sowieców. Zając wojną, administrację lasów w Trójcy powierzyli ekipie polskiej, sprowadzonej z różnych stron Polski. Ojciec pojechał najpierw sam, a po niedługim czasie sprowadził do siebie nas wszystkich.

Został zatrudniony w nadleśnictwie jako pomocnik kancelaryjny. Zamieszkaliśmy w solidnych budynkach służbowych, odetchnęliśmy, byliśmy znow razem, poculiśmy się na początku wspaniale. Cały personel nadleśnictwa, składający się z około dziesięciu osób, był polski. Nadleśniczym był Jerzy Schlingler, Polak z Poznania, choć o nazwisku niemieckim. Mówiło się wtedy i czytało tylko po polsku, wszystkie rodziny przyjaźniły się ze sobą, pożyczaly sobie książki, prowadziło się ożywione życie towarzyskie. Chodziliśmy nawet krótko do polskiej szkoły w naszej wsi, razem z dziećmi nadleśniczego, z którymi się serdecznie przyjaźniliśmy. Kiedy zamknięto szkołę, rodzice zorganizowali nauczanie w domach. Zaangażowali jako nauczycielkę uwielbianą przez nas, młodą i śliczną pannę Ludmiłę, pochodzącą chyba z Chyrowa. Śpiewaliśmy o niej piosenkę: „Panna Ludka, kwiatek róży, jak się śmieje, oczka mruży”. Skończyła przedwojenne Seminarium Nauczycielskie i była bardzo kompetentnym pedagogiem. Zgodziła się przyjąć mnie do pierwszej klasy w wieku pięciu lat, jej zawdzięczam podstawy edukacji szkolnej. Uczyła nas też polskich piosenek. To były niewątpliwie najszcześniejsze chwile naszej okupacyjnej historii, które trwały jednak bardzo krótko.

Pamiętam wspólną Wigilię i Boże Narodzenie w roku 1942, pierwsze i zarazem ostatnie święta przeżyte w tym gronie przyjaciół. Dzieci przygotowały przedstawienie, przyszedł Mikołaj ze złotym pastorałem i wręczył dzieciom skromne prezenty. Dostałam uszytą ręcznie szmacianą lalkę i bardzo się z niej cieszyłam. Domyślaliśmy się, że Mikołajem był ulubiony przez nas pan Mieczysław Moskwa, który, jak się dużo później dowiedziałam, był przed wojną oficerem w wojsku polskim i po demobilizacji ukrywał się, a w 1942 przyjechał do Trójcy do swego brata, który pracował w nadleśnictwie. Mieczysław zaręczył się z panną Ludką, bardzo do siebie pasowali. Niestety, wkrótce przyjechało po niego gestapo. Wszyscy płakaliśmy, kiedy go zabierali do samochodu. Nikt go już później nie widział, ani o nim nie słyszał. Był pięknym człowiekiem i zostawił po sobie puste bolące miejsce. Dzielił się z panną Ludką jej cierpienie i nawet mieliśmy do niej żal, kiedy dowiedzieliśmy się, że po wojnie wyszła za mąż za Zygmunta Moskwę, brata Mieczysława.

Wkrótce nadleśnictwo zaczęło się rozsypywać. Na początku 1943 roku sporo ludzi gdzieś wyjechało. Wyjechał nadleśniczy Schlingler z rodziną i inni ludzie, do których zdążyliśmy się przywiązać. Oprócz Ojca zostały dwa małżeństwa - pan



Nizankowice, obecnie na terenie Ukrainy tuż przy granicy z Polską. Urbańscy z dwójgiem małych dzieci w towarzystwie synów Ukrainki, u której mieszkali w 1943 roku. Fot. z archiwum Marii Szupryczyńskiej

Hołysz z żoną i nowy nadleśniczy, którego nazwiska nie pamiętam, z żoną i dwunastoletnim synem, chyba studentem. Mieszkaliśmy jakiś czas w Rybotyczach, gdzie mieliśmy do dyspozycji bardzo skromny domek. W tym czasie, w szpitalu w Przemyślu urodził się nasz brat Janusz (1943). Z dawnego nadleśnictwa zamieszkali w pobliżu Hołyszowie, nadleśniczy z rodziną, a także gajowy, którego nazwiska również nie pamiętam, z żoną i pięciorgiem dzieci. Nie było już ani pracy, ani kartek na żywność, w rodzinach zaczęło być głodno. Mama gotowała wtedy często na obiad kulki z lebiody.

Pamiętam też rodzinę żydowską, mieszkającą w tej samej wsi. Przyjaźniłam się z ich córką, która była w moim wieku, i jako jedyna z rodziny bywałam u nich i pamiętam smak domowej macy. W 1942 roku nasi żydowscy sąsiedzi zostali przez Niemców zmuszeni do opuszczenia domu i zapewne podzielili los żydowskich mieszkańców tych stron. Równocześnie Ukraińcy zaczęli znów intensywnie mordować Polaków. Spośród nas pierwszą ofiarą był gajowy, którego w nocy zabrano z domu, a jego ciało wszyscy Polacy szukali następnego dnia w lesie całą grupą, razem z dziećmi, bo bali się zostawić je same. Ciało znalazła nasza Mama z nami u boku. Było niedbale przysypane cienką warstwą ziemi. Widok tak strasznie zmaltretowanego ciała człowieka był wstrząsem dla wszystkich. Osierocił pięcioro dzieci. Po pogrzebie udało się zdobyć dla wdowy i dzieci miejsce w wagonie towarowym, żeby mogła wyjechać do swoich krewnych w Polsce centralnej. Niedługo potem przyszli którejś nocy do domu nadleśniczego i zamordowali syna na oczach matki i ojca. Do tych dwu zamordowanych mogłyby się odnosić nazwiska – Gołębiowski... student i Korbecki... gajowy, które znalazłam wśród ofiar UPA z okolic Rybotycz w opracowaniu: Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim 1939-1947, Wrocław 2006, s. 141. Mordów dokonywały nocami specjalne grupy oprawców, które już wtedy nazywaliśmy bandami.

W poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca opuściliśmy Rybotycze i zamieszkaliśmy w wiosce Niżankowice (w dawniejszym powiecie przemyskim, dziś po stronie ukraińskiej) w domu pewnej Ukrainki, wdowy z dwoma synami, która oddała nam jedno pomieszczenie w swojej prostej chacie. Trzeba podkreślić, że znaczna część naszych ukraińskich sąsiadów wcale nie popierała tych zbrodni, ale oni też żyli w strachu przed bandami, bojąc się wystąpić otwarcie w obronie Polaków, gdyż im również groziła za to śmierć i prześladowania. Mimo to ostrzegali zwykle naszego Ojca i innych mężczyzn przed planowaną nocną akcją. Ojciec ciągle się ukrywał, przeważnie nie nocował w domu, a my baliśmy się o niego śmiertelnie. W końcu zdobyliśmy jakimś cudem wagon towarowy, do którego zapakowany został skromny dobytek wszystkich pozostałych przy życiu Polaków i tym wagonem razem z innymi uciekaliśmy przed Ukraińcami na zachód, byle dalej od tego piekła. Po drodze niektórzy się odłączali. Ojciec zamierzał dotrzeć na

Podhale, podobnie jak Hołyszowie. Podróż trwała prawie dwa tygodnie, wreszcie nasz wagon towarowy stanął na bocznicę stacji Szaflary koło Nowego Targu. Stał tam kilka dni i był cały czas naszym domem, dopóki nie znaleźliśmy sobie miejsca do zamieszkania.

NA PODHALU

Najpierw przyjęli nas Sieczkowie, dość bogaci gospodarze we wsi Bańska Wyżna. Obok ich nowego, drewnianego, typowo podhalańskiego domu stał niezamieszkały starszy, mniejszy i skromniejszy, też drewniany dom, który oddali nam. Jedno pomieszczenie zajęli w nim Hołyszowie, którzy wkrótce gdzieś wyjechali, a drugie my. Potem przeprowadziliśmy się do Bańskiej Niżnej, najpierw do domu dość biednego górala, starego Wilka, wdowca, który mieszkał z dwoma synami na skraju wsi. Tam pewnej nocy napadli na nas uzbrojeni rabusie podhalańscy, którzy nas okradli. Wyrzucili resztki naszego dobytku przez okno na zewnątrz i postawili przy stosiku naszych rzeczy kogoś na straży. Mama wykazała się wtedy odwagą i brawurą, w ciemności wychyliła się przez okno i w czasie, kiedy napastnicy, grożąc bronią, szukali Ojca, który zdołał się im wymknąć i uciec, ona wyciągała zza okna po sztuce parę rzeczy, m. in. kurtkę Ojca, buty, obrus, prześcieradło itp. Pewno odzyskałaby tego więcej, gdybyśmy jej nie odciągnęli z bratem, błagając, żeby tego nie robiła, bo baliśmy się, że ją zastrzelą. Ojciec podejrzewał, że dwaj synowie Wilka byli w to zamieszani, więc przeprowadziliśmy się do Stanisława Guta, szanowanego w Bańskiej Niżnej gazdy, mieszkającego w ładnej drewnianej zagrodzie góralskiej w środku wsi. Dostaliśmy izdebkę „na górce” i tam, otoczeni życzliwością i opieką gospodarzy, dotrwaliśmy do końca naszej wojennej tułaczki, czyli do wyjazdu w lutym 1945 roku.

Nie byliśmy jedyną rodziną, której górale udzielili schronienia. Jesienią 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego na Podhale zaczęli przyjeżdżać licznie uciekinierzy z Warszawy, których górale przyjmowali także gościnnie, nie dbając o własne wygody. Ci twardzi ludzie gór wykazali wtedy dużo ofiarności i zwykłej ludzkiej solidarności z pozbawionymi domów wygnańcami, którym po prostu pomogli przetrwać.

Na Podhalu spędziliśmy rok i kilka miesięcy, od jesieni 1943 do stycznia 1945 roku. Ojciec pracował dorywczo, żeby nam zapewnić jakieś utrzymanie. Wszyscy poznawaliśmy od wewnątrz życie i zwyczaje wsi podhalańskiej, sposób ubierania się górali na co dzień i od święta oraz sposób ich odżywiania, ich mowę i pieśni.

Prawdopodobnie z niedożywienia nabawiłam się silnej anemii. Rodzice zawieźli mnie do lekarza do Zakopanego, który zaordynował tran i leżakowanie codziennie przez dwie godziny pod kocem na świeżym powietrzu. Wtedy byłam

po raz pierwszy w Zakopanem i zapamiętałam z niego tylko duży murowany kościół, do którego poszliśmy, żeby spotkać się z księdzem. Tymczasem zaczęły się już pojawiać pierwsze sygnały końca wojny. Jesienią 1944 roku widać było pojedyncze wozy z uciekającymi Niemcami, ubranymi po wojskowemu lub po cywilnemu, którzy z bronią w rękę, ale dość bezskutecznie próbowali zdobyć żywność u gospodarzy. Nasz gazda, Stanisław Gut, miał wypróbowany na to sposób. Zamykał wejście na podwórze, a zwierzęta w stajni, spuszczał z łańcucha swego wielkiego i ostrego owczarka podhalańskiego, a sam dołączał do nas wszystkich zabarykadowanych w domu. W tej sytuacji delikwent nawet nie próbował wejść na podwórze. Pewnego razu zabłąkał się w Bańskiej konny oddział wojska węgierskiego. Żołnierze byli młodzi, weseli i piękni w swoich bajecznie kolorowych mundurach. Dla dzieci stanowili nie lada atrakcję, tym bardziej że zachowywali się bardzo przyjaźnie, rozdawali nam cukierki i jakieś kolorowe drobiazgi, a nawet pozwalali posiedzieć na swoich wspaniałych koniach. Niestety, po zrobieniu dobrego wrażenia zaraz odjechali.

Uciekając, Niemcy zaczęli burzyć za sobą mosty. Wybuchy były tak silne i bliskie, że nie mogliśmy spać nocami. Raz w biały dzień obserwowaliśmy bitwę kilku samolotów w powietrzu. Jeden z nich zrzucił na pobliskie wzgórze duży zbiornik z żywnością, którą rozdzielono między ludzi, a ze spadochronu, na którym zbiornik spadał, panie uszyły sobie bluzki. W ślad za uciekającymi Niemcami nadeszła od północnego wschodu Armia Czerwona, którą w pierwszym odruchu ludność traktowała jako wyzwolicielkę. Żołnierzy sowieckich było bez liku, zakwaterowano ich wszędzie po trochu, też w naszej wsi. A ponieważ obyczajów nie mieli dżentelmeńskich, więc siłą rzeczy powstawały różne problemy. Trzeba jednak przyznać, że wszelkie wybryki żołnierzy były surowo karane przez ich dowódców, jeśli tylko ktoś z poszkodowanych się poskarżył. Wkrótce żołnierze sowieccy pomaszzerowali dalej na zachód.

Z początkiem zimy 1944 roku rodzice zaczęli się przygotowywać do powrotu do naszego przedwojennego domu, czyli do leśniczówki Barłogi w Borach Tucholskich. Boże Narodzenie spędziliśmy jeszcze z rodziną Gutów w Bańskiej Niżnej. Rodzice snuli jakieś przybliżone plany co do przyszłości, która wcale nie była taka pewna, bo ciągle trwała wojna. Minął jeszcze miesiąc z okładem, z nim zdecydowali się wyruszyć z trojgiem dzieci (dziesięć, siedem i półtora roku) w drogę na północ przez Kraków i dalej, jak Pan Bóg pozwoli, przez zniszczoną wojną Polskę. Był luty 1945, panowała sroga i śnieżna zima. Kolej do Krakowa nie działała - węzły kolejowe, tory i dworce były zbombardowane. Nasz niewielki dobytek wraz z nami i furmanem został więc zapakowany na wynajęte sanki i koń pociągnął ten ciężar przez Nowy Targ do Krakowa drogą, która odpowiada z grubsza dzisiejszej Zakopiance. Przez długie odcinki trzeba było iść pieszo obok sanek, po pierwsze, żeby nie zamarznąć, a po drugie, żeby ulżyć koniowi.

Przynajmniej raz w czasie tej drogi nocowaliśmy na sianie u przygodnych gospodarzy. Furman pożegnał nas w Krakowie, zabrał konia i zawrócił z powrotem do Bańskiej. A nam po kilku dniach oczekiwania na dworcu udało się wsiąść do wagonu towarowego, pełnego takich jak my wędrowców, i po niezliczonych przesiadkach, okrężnymi trasami, często z kilkudniowymi postojami na wielu dworcach dotrzeć do Koronowa, skąd pociągiem do Tucholi nie można było już dojechać.

Bardzo ważne dla przemieszczających się masowo w 1945 roku Polaków były dobrze już w tym czasie zorganizowane punkty PCK, z których pomocy korzystaliśmy w czasie całej naszej peregrynacji. W Koronowie zostaliśmy w takim punkcie zakwaterowani w czystych pokojach z dostępem do bieżącej wody i zapewniono nam ciepły posiłek. W braku połączenia kolejowego z Tucholą pozostawał tylko transport za pomocą pojazdów wojskowych, które w całości na tym terenie należały wówczas do Armii Czerwonej. Uprzedzono nas, że ciężarówki wojskowe zabierają cywilów, ale żądają za to opłaty w naturze, w postaci wódki. Polowanie na przygodną ciężarówkę radziecką odbywało się w ten sposób, że posadzono mnie ze starszym bratem przy drodze z zadaniem podnoszenia wysoko litrowej butelki napełnionej wodą na widok zbliżającej się ciężarówki. W drugim dniu dyżuru jedna z ciężarówek zatrzymała się. Zaprowadziliśmy szofera do rodziców. Po dobieciu targu zapakowaliśmy się na ciężarówkę i po kilku godzinach jazdy byliśmy już w domu dziadków Woźniewskich w Tucholi. W trakcie wręczania zapłaty powstał mały incydent. Rosyjski żołnierz zareagował ostro widząc, że wręczana mu butelka wódki (ostatnia z chowanych jako towar wymienny) ma mniejszą objętość niż butelka z wodą pokazywana mu rano na przynętę w Koronowie. Twierdził, że chcemy go oszukać. W końcu zgodził się jednak przyjęc mniejszą butelkę, kiedy otrzymał na dodatek paczkę papierosów. W ten sposób po upływie prawie miesiąca od wyjazdu z Podhala znaleźliśmy się u kresu podróży, w odległości dwudziestu kilometrów od Barłóg.

KRAJOBRAZ PO WOJNIE

Kiedy po wojennej tułaczce w marcu 1945 roku zobaczyliśmy znów leśniczówkę w Barłogach, stan domu i zabudowań był opłakany. Stodoła ogołocona z desek, stał tylko jej szkielet przykryty dachem, stajnia pozbawiona wszystkich drzwi. W oknach ani jednej szyby, kuchnia sponiewierana, ściany brudne i odrapane, obtłuczony tynk, podłogi strasznie zanieczyszczone. Znikły drewniane parapety, schody na piętro i barierki przy nich, w piwnicach pełno stłuczonego szkła, zużytych puszek i jakieś sterty gnijących śmieci. Jak się później dowiedzieliśmy, po ucieczce Niemców jesienią 1944 roku, leśniczówka pozostała w całym niezłym stanie, nawet wraz z częścią wyposażenia. Tylko zainstalowane na oknach domu grube i mocne metalowe siatki ochronne świadczyły o tym, jak

bardzo Niemcy bali się ataku partyzantów, którzy byli niezwykle aktywni w Borach Tucholskich, nie tylko w czasie okupacji, ale jeszcze później, aż do przełomu lat 1947/1948. O powojennych wizytach partyzantów w naszej leśniczówce opowiem jeszcze poniżej. Tu wspomnę tylko, że Ojciec pozostawił te siatki w oknach jeszcze przez kilka lat. Czasy były niepewne, więc siatki stanowiły jakąś ochronę nie tylko dla nas przed przypadkowym napastnikiem, ale też dla odwiedzających nas partyzantów, kiedy rozkładali się na noc w pokoju stołowym wokół ustawionego centralnie na stole i gotowego do strzału karabinu maszynowego z lufą skierowaną w stronę okien.

Największe zniszczenia w leśniczówce i zabudowaniach musiały powstać wtedy, kiedy przetaczał się przez te tereny front na przełomie lat 1944 i 1945. Stacjonowały w niej wtedy kolejno różne oddziały żołnierzy, przede wszystkim radzieckich, którzy według opowiadań okolicznych mieszkańców przebywali tu najdłużej i przemieszczali się najbardziej masowo. Można sobie łatwo wyobrazić tych umęczonych wojną młodych ludzi, pokonujących setki i tysiące kilometrów w warunkach zimowych, w sytuacji ciągłego zagrożenia życia. Kiedy więc mieli przez chwilę dach nad głową, najwidoczniej było im wygodniej palić w piecach deskami, odrywanych ze ścian i wrót stodoły, czy też drzewem pozyskanym z parapetów, schodów i poręczy, niż piłować i rąbać nagromadzone w drewni spore zapasy drzewa na opał. Wojny zawsze są arenami nieprawdopodobnego barbarzyństwa, którego doznają nie tylko ludzie i zwierzęta, ale też przedmioty martwe. Prawdopodobnie w analogicznych okolicznościach zostały spalone niektóre nasze meble, pozostawione w leśniczówce przez Niemców, na szczęście nie wszystkie, część z nich uratowali zaprzyjaźnieni mieszkańcy wsi Rzepiczna. Jeszcze przed wkroczeniem na te tereny Armii Czerwonej zabrali z opuszczonej leśniczówki i przechowali dla nas po domach niektóre sprzęty, m.in. łóżka z sypialni, stół z jadalni, kredens z kuchni, kilka obrazów, a nawet jeden oryginalny wileński kilim. Nie wiem, co się stało ze zwierzętami, ale ku naszej wielkiej radości w Rzepicznej przeżyła wojnę piękna wyżlica szorstkowłosa, Zenta, jeden z kilku przedwojennych psów myśliwskich Ojca.

Po toczących się w pobliskich lasach w styczniu i lutym 1945 ostrych potyczkach Armii Czerwonej z Niemcami pozostały liczne ślady, przede wszystkim rozrzucone po lesie świeże groby żołnierzy obu walczących ze sobą stron. Zabitych zakopywano tam, gdzie upadli, a ich skromne mogiłki, usypane ze złotego piasku, widoczne były z daleka na ciemnej podściółce lasu. U wezłowania tych mogił kładziono zwykle hełm zabitego żołnierza, jednak bez żadnej informacji o nazwisku, ani narodowości. Którą ze stron reprezentowali zabici żołnierze, nauczyliśmy się szybko rozpoznawać właśnie po tych hełmach, które różniły się nieco kształtem. Zaczęły one jednak dość szybko znikać z mogił, uzyskując praktyczne za stosowanie w wiejskich gospodarstwach. Miejscowa ludność używała

ich jako naczyń, głównie do czerpania wody oraz karmienia i pojenia drobiu czy psów. Na wiejskich podwórkach w Borach stanowiły one jeszcze długo po wojnie dość powszechny widok.

W najbliższej okolicy leśniczówki takich grobów było kilka. Zwykle na Wszystkich Świętych robiliśmy wokół nich porządek i dekorowaliśmy je gałązkami. Dbaliśmy o nie, niezależnie od tego, kto w nich leżał. Ich położenie umieliśmy określić jeszcze przez dłuższy czas, nawet po kilku latach, gdy sam las zaczął je skrywać pod mchem, borówkami, jałowcami i innymi samosiejkami, pochłaniając coraz bardziej bezimienne mogiły. Natomiast dla nowych gospodarzy leśniczówki (po opuszczeniu przez nas Barłóg w roku 1954) były już one z pewnością całkiem niewidoczne. Sama, ilekroć zdarzyło mi się przejeżdżać przez Barłogi w ostatnich dziesięcioleciach, mogłam już tylko w przybliżeniu zlokalizować najbliższy, położony na górcie grób, w tamtym czasie dobrze widoczny i mijany w drodze do szkoły, do kościoła czy na grzyby. Dziś nie został po nim nawet ślad wzgóрка.

W lesie były też leje po bombach i świeże okopy, a także obfitość porzuconej broni i nieużytej amunicji, wszędzie leżały pojedyncze niewypały o różnych kształtach i rozmiarach. Jeden z nich, ogromny pocisk, leżał przy drodze do Rzepicznej i budził w nas szczególnie wielki strach. Idąc do szkoły, omijaliśmy to miejsce wielkim łukiem, nakładając drogi. Oczyszczanie Borów z tych niebezpiecznych pozostałości po wojnie trwało dość długo, w naszych lasach oddział saperów zlikwidował ostatecznie niewypały chyba dopiero po upływie roku. Natomiast drobniejszą broń i amunicję pozbierała wcześniej okoliczna ludność, a w procederze tym najaktywniejsze były dzieci wiejskie, a my razem z nimi. Przechowywaliśmy z bratem (on miał w tym czasie jedenaście lat, ja osiem) w tajemnicy przed rodzicami cały arsenał schowany nad stajnią w sianie w kącie strychu za belkami. Mieliśmy tam dwa karabiny zwykłe, jeden maszynowy, trochę granatów ręcznych (z trzonkami i bez), metalowe pojemniki z nabojami karabinowymi, taśmę z nabojami do karabinu maszynowego i do tego niewielką ilość rakiet, jednak bez rakiety. Byliśmy dziećmi wojny, te przedmioty miały dla nas urok same w sobie - były groźne i piękne. Naboje karabinowe były jak małe błyszczące cacka, gładkie i przyjemne w dotyku. Zastępowały nam zabawki, których w dzieciństwie nie mieliśmy. Od wyrostków wiejskich, z którymi spędzaliśmy sporo czasu na łąkach przy pasieniu krów, nauczyliśmy się obchodzić z tymi przedmiotami.

Przed rodzicami kryliśmy się ze wszystkim skutecznie, zresztą Ojciec przez cały dzień był w lesie, a mama, zajęta domem i gospodarstwem, oczekująca czwartego dziecka (w listopadzie 1945 roku urodziła się nasza siostra Anna) mało wiedziała o rodzaju naszych zabaw. Za to Opatrzność najwyraźniej musiała bardzo czuwać nad nami, bo jakoś z tych zabaw wyszliśmy wszyscy cało i zdrowo. W pewnym momencie wmieszała się w to zresztą władza ludowa, która

surowo nakazała oddać wszelką znaleźną broń w określonym terminie pod groźbą represji. Było nam bardzo trudno rozstać się z naszym skarbem, więc postanowiliśmy nie mówić o niczym rodzicom. Całą skrzynkę najbardziej ulubionych naboji karabinowych zakopaliśmy w konspiracji w ogrodzie, w środku dużego krzaka bzu. Ojciec jednak, przeszukując systematycznie wszystkie zakątki, odkrył nasz magazyn na strychu i zrobił nam piekielną awanturę. Zrozumieliśmy, na co narażamy rodzinę, dopiero wtedy, kiedy krzyczał do nas: Wy chyba chcecie, żebym do końca życia gnił w więzieniu! Oddaliśmy więc cały nasz arsenał, choć z żalem, zachowując sobie na pociechę tajemnicę o skrzynce naboji w bzie, której potem i tak nie mogliśmy już odnaleźć. Zapewne spoczywa tam sobie spokojnie do dziś. W ten sposób zakończył się dla nas nie tylko okres zabaw bronią, ale też jakoś symbolicznie sama wojna.

ODBUDOWA ŻYCIA

Budowanie życia od nowa odbywało się w warunkach więcej niż pionierskich. Organizowanie leśnictwa Ojciec zaczął od odbudowy na przedwojennej bazie zespołu robotników leśnych, głównie spośród mieszkańców Rzepicznej, która była typową osadą borowiacką, żyjącą z lasu. Wśród wieloletnich robotników byli przede wszystkim tacy oddani pracownicy jak Bronisław Czarnowski, nazywany przez nas Bronem, ogólnie lubiany i szanowany. Był ojcem chyba pięciu córek, z których jedną rodzice zatrudnili w leśniczówce do pomocy w pracach domowych i gospodarskich. Z innych robotników pamiętam też Reszkę. Wśród nich ważną funkcję przodownika pełnił przez wiele lat Edmund Piesik z Wybudowania Legbąd, ceniony przez Ojca i poważany przez kolegów, bardzo doświadczony pracownik. Gajowym był Misiak, człowiek młody, ale odpowiedzialny i obowiązkowy. Dzięki zaangażowaniu i ofiarności tych ludzi prace leśne mogły powoli ruszyć mimo ogromnych trudności. Inaczej niż dziś, w tamtych czasach leśniczego łączyły z robotnikami leśnymi silne i bezpośrednie więzi, nie tylko służbowe, ale też ludzkie. Pamiętam, jak po pracy lub po wypłacie, wręczanej wtedy bezpośrednio przez leśniczych, Ojciec lubił sobie z nimi pogawędzić, darzyli się wzajemnie szacunkiem i zaufaniem. Leśniczy dawał ludziom pracę i zarobek, był upoważniony do wydawania różnych urzędowych kwitów, m.in. dość długo obowiązujących w PRL pozwoleń na zbieranie grzybów i jagód, stąd też miał wielki autorytet w środowisku wiejskim. Oprócz paru mężczyzn zatrudnionych na stałe, niektórzy mieszkańcy Rzepicznej pracowali w lesie sezonowo, na przykład zimą przy wyrębach i zwózce drewna, a wiosną przy zakładaniu i pielęgnacji szkółek czy sadzeniu lasu, w czym pomagały czasem dzieci szkolne.

Pamiętam jedną wizytę ojca w szkole w Rzepicznej i wygłoszoną przez niego ciekawą pogadankę o lesie, po której uczniowie dostali do rąk kostury i skrzynki z sadzonkami i wszyscy poszliśmy z entuzjazmem sadzić las. Latem głównym

zajęciem ludności było zbieractwo, czym trudniły się głównie kobiety i dzieci. Zima była dla nich bardzo trudnym okresem, nie starczało pieniędzy na opał, powszechnie zbierano więc chrust, często znoszony z lasu na plecach. Używano także torfu, wykopywanego latem na podmokłych łąkach, ciętego w kostki i suszonego w charakterystycznych piramidkach na słońcu. Borowiacy odżywiali się bardzo skromnie, tym, co wyrosło na ich piaszczystych poletkach, przeważnie ziemniaki i kapusta, lub tym, co nazbierali w lesie. Ze zbóż siali przede wszystkim żyto, z żytniej mąki piekli chleb, a otrębami karmili inwentarz. Przy drewnianych domkach były też ogródki z wiejskimi kwiatami, a w obórkach przeważnie po jednej krowie, świni i kilka kur. Koni na ogół nie mieli, rowery były rzadkością, do lasu i do kościoła chodzili pieszo. We wsi byli tylko trzej lub czterej bogatsi gospodarze, do których należeli Czapiewscy i Czerwińscy. Ich domy i zabudowania gospodarcze, położone w środku wsi, odróżniały się od innych tym, że były obszerniejsze i murowane.

Znaliśmy prawie całą Rzepiczną i wielu, szczególnie jej starszych mieszkańców, darzyliśmy sympatią, szczerze odwzajemnianą. Zachowaliśmy ich do dziś we wdzięcznej pamięci. Ci prości ludzie mieli wiele naturalnej godności, kultury wewnętrznej i duchowego bogactwa, czego przykładem może być Bron, który opiekował się czasem dziećmi i leśniczówką pod nieobecność rodziców. Byłam wzruszona, kiedy zobaczyłam go po ok. 25 latach, wiosną, chyba 1980 roku, na mostku koło leśniczówki Barłogi, wymizerowanego po świeżo przeżytym zapaleniu płuc. Poznał mnie od razu i przywitał radośnie z wyciągniętymi rękami: Marychna kochana! Po raz ostatni widziałam go latem tego samego roku, niedługo przed jego śmiercią, kiedy ku jego zadowoleniu zawieźliśmy mu w prezencie wcześniej obiecany czarny garnitur ślubny mojego męża. Zapamiętałam też dwóch braci Osowskich, którzy przychodzili do koni i nauczyli nas jeździć na nich wierzchem. Ich matkę, wdowę, odwiedzałam często po szkole i dostawałam od niej zwykle pajdę pysznego wiejskiego chleba z syropem, to znaczy melasą z buraków cukrowych, gotowaną wtedy powszechnie w domach. Lubiliśmy asystować kobietom, które przychodziły do siana, do kopania kartofli, do prania, a zimą chodzić z mamą do ich domów na skubanie pierza. Przy pracy opowiadały nam straszne bajki, głównie o duchach, za którymi przepadaliliśmy, choć nie mogliśmy po nich zasnąć. Nasi sąsiedzi z Rzepicznej cieszyli się z powrotu ich przedwojennego „leśnego”, więc starali się mu pomóc, nie tylko w pracach rolnych, ale też przy wysprzątaniu leśniczówki i przystosowaniu jej do w miarę normalnego bytowania. Okna zostały tymczasowo zalepione papierami, bo o szybach nawet nie było co wtedy marzyć. Zresztą, brakowało dosłownie wszystkiego i wszystko było reglamentowane.

Bezpośrednio pomocny był w tym czasie szczególnie jeden mieszkaniec Rzepicznej, Teofil Czerwiński, nazywany przez nas Filem, doskonały cieśla wiejski o artystycznych uzdolnieniach, które manifestował, wykonując na przykład



Rodzina Urbańskich w Bartłogach, rok 1947. W środku rodzice - Jadwiga z matką Bożeną i Władysław z Anną na kolanach. Stoją: z lewej Maria, w środku Janusz, z prawej Henryk. Fot. z archiwum Marii Szupryczyńskiej



Jadwiga Urbańska, żona leśniczego w 1948 roku



Leśniczy Władysław Urbański, w 1949 roku

Władysław i Jadwiga Urbańscy w oknie leśniczówki Barłogi z dziećmi, od lewej: Władysławem, Bożeną i Henrykiem. Rok 1954. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



delikatne ażurowe ozdoby z drewna przy oknach budowanych przez siebie tradycyjnych drewnianych borowiackich domów. W leśniczówce Fil odbudował schody i poręcze, dorobił nowe parapety, uzupełnił deski w podłogach, obit deskami stodołę. Ponadto, zrobił używane później przez wiele lat sprzęty kuchenne proste stół, tzw. krzyżak, oraz podobne taborety i ławy o skrzyżowanych nogach, wszystko z surowego drewna sosnowego, ale bardzo solidne. Jedynym zrobionym przez niego bardziej wyrafinowanym meblem było biurko, które służyło Ojcu do końca życia.

Musiał też zbić z desek proste łóżka dla dzieci, do których używało się sienników. Stopniowo powiększała się bowiem rodzina. Oprócz Janusza, urodzonego w 1943 roku w Przemyślu, reszta młodszego ode mnie rodzeństwa przyszła na świat w Barłogach: Anna (1945), Bożena (1947) i najmłodszy, Władysław (1950). Rodzicom przybywało wydatków, a z bardzo niską pensją Ojca trudno było sprostać potrzebom, zaczęli więc powoli kompletować inwentarz z myślą o niezależności aprowizacyjnej i ewentualnej sprzedaży nadprodukcji nabiału w Tucholi.

ŻOŁNIERZE MAJORA ŁUPASZKI

W wieczornych rozmowach dorosłych pojawiały się poważne tematy, o których mogli wówczas mówić ze sobą otwarcie tylko ludzie ufający sobie wzajemnie bez zastrzeżeń. Z upływem miesięcy stawało się bowiem jasne, na czym będzie polegał narzucony nam bez pytania porządek polityczny po Jałcie. Ojciec i jego najbliżsi koledzy z niepokojem śledzili rozwój wypadków. Ci z Kresów lepiej niż inni wiedzieli, co oznacza życie w sferze wpływów sowieckich. Mieli świadomość, że wbrew nadużywaniu pojęcia „demokracja” nowa rzeczywistość polityczna mało ma z demokracją wspólnego. Szybko gasła resztką nadziei, pokładanej w mikołajczykowskiej partii ludowej PSL, która powstała w 1945 roku i stanowiła przez pewien czas właściwie jedyną liczącą się legalną opozycję, zresztą od początku narażoną na szykany. Przyszłość rysowała się niepewnie, spodziewano się nawet wybuchu trzeciej wojny światowej. Zaraz po przejściu frontu, na jego tyłach, NKWD i organizowane pod jej patronatem polskie organy porządkowe zaczęły oczyszczać teren, rozprawiając się z opozycją i podziemiem. W Borach Tucholskich pod różnymi nazwami kontynuowały okupacyjną działalność, teraz skierowaną przeciw sowieckim i polskim organom władzy komunistycznej, polskie oddziały partyzanckie, wywodzące się głównie z AK, w tym częściowo z Wileńskiej Brygady AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkii”. Mimo ogłoszonej przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w sierpniu 1945 roku pierwszej amnestii duża część partyzantów zdecydowała się pozostać nadal w ukryciu, widząc, jak postępowano z tymi, którzy zaufali zapewnieniom nowej władzy. W latach 1946-47 wszyscy leśniczowie spotykali w lesie partyzantów. Powoli ich oddziały stawały się coraz mniej liczne, ale cały czas były wyjątkowo mobilne, gdyż



Szwadron Leona Smoleńskiego „Zeusa” z VBrygady Wileńskiej, przy leśniczówce Kosowa Niwa w Borach Tucholskich, rok 1946. Fot. archiwum IPN w Gdańsku

nie miały stałych miejsc pobytu, choćby takich, jak dobrze zakonspirowane bun-kry w czasie okupacji. Leśne służby nie tylko ich nie denuncjowały, ale w miarę swych możliwości roztaczały nad nimi dyskretnie opiekę. Miejscowa ludność też nie była wrogo usposobiona do „leśnych”, jak ich nazywano. Nie słyszałam, żeby ktoś na nich doniósł. Partyzanci znajdowali w miarę bezpieczne schronienie głównie w leśniczówkach, z powodu ich odosobnienia i znacznego oddalenia od większych osiedli. Traktowano ich tam jak gości, mogli się wyspać i oporządzić, wyczyścić broń, karmiono ich, opierano, wyposażano w chleb itd.

Ojciec musiał ich spotykać w lesie częściej, do domu zaś przychodzili stosun-kowo rzadko, pamiętam trzy, może cztery takie wizyty w Barłogach, w nieregul-arnych odstępach czasu i za każdym razem nie więcej jak na jedną, dwie noce. Opiszę jedną z takich wizyt, którą najlepiej pamiętam. Wczesnym rankiem, chy-ba jesienią 1946 roku przyszło kilkunastu młodych chłopców, szczupłych, ob-wieszonych bronią. Ubrani byli częściowo po cywilnemu, niektórzy w niekom-pletnych polskich mundurach, w rogatywkach na głowach. Dowódca przejmował kontrolę nad życiem w leśniczówce, zabraniając komukolwiek z wyjątkiem Ojca opuszczać jej teren przez cały czas ich pobytu. Nie mogliśmy więc iść do szkoły. Ale to był jedyny radykalny nakaz, poza tym zachowywali się jak dobrze wy-chowani ludzie, o wszystko, czego potrzebowali, uprzejmie prosili i pytali, nie było żadnego rekwirowania czegokolwiek przemocą. Pamiętam, że jeden z par-tyzantów zainteresował się plecakiem wojskowym, który służył mi jako szkolny tornister, ale zrezygnował z niego, widząc, jak trudno mi się z nim rozstać (dziś wyrzucam sobie, że odmówiłam mu tej małej ofiary). Na noc ustawili w poko-ju stołowym karabin maszynowy skierowany lufą ku oknom, a starsi stopniem rozłożyli się wokół na skórkach dzików, którymi były u nas zawsze wysłane pod-łogi. Młodszy stopniem, też w pełni uzbrojeni, nocowali na sianie nad stajnią, skąd mieli pod obserwacją główną bramę. W ciągu dnia partyzanci nie wychodzili na podwórze, aby nie zauważył ich jakiś przypadkowy przechodzień. Ewentualnych interesantów Mama miała za zadanie odprawiać już na podwórzu.

Krząając się wewnątrz, rozmawiali ze sobą i z nami, próbowali nawet żarto-wać, ale wyczuwalny był nastrój smutku, a nawet tragizmu. Wieczorami wszyscy ze ściśniętym sercem słuchaliśmy, jak pięknymi głosami śpiewali nostalgiczne pieśni partyzanckie. Budzili współczucie, gdyż już było wiadomo, że sprawa, o którą walczą ci podziwiani przez nas młodzi ludzie i która była też naszą spra-wą, jest już przegrana, i że nowa władza potraktuje ich bezwzględnie, z bezprzy-kładnym sadyzmem i okrucieństwem. Aż chyba gdzieś na przełomie lat 1947/48 partyzanci przestali przychodzić do leśniczówek. Część z nich ujawniła się po ogłoszeniu 22 lutego 1947 roku drugiej amnestii, tym razem przez Sejm Ustawo-dawczy. Resztę wyłapano w ramach akcji K w maju i czerwcu 1948 roku. Jednym i drugim nie okazano łaski, zostali przez milicję i UB spacyfikowani i zamknięci

w więzieniach, gdzie znęcano się nad nimi w bestialski sposób, zadając im cierpienia fizyczne i psychiczne przez szereg kolejnych lat.

Do Ojca przyjeżdżali w tym czasie na narady rodzinne jego bracia i siostry, zdeorientowani i przygnębieni obrotem spraw. Dla nich koniec wojny obfitował w bardzo dramatyczne przeżycia, podobnie jak dla milionów Polaków na wschodzie, pozbawianych siłą ojcowizny, na którą często składał się dorobek wielu pokoleń. Wielkim szokiem były dla nich nowe granice Polski, zresztą niepewne przez dłuższy czas. Dziadkowie Urbańscy, którzy w swoim Skolem czuli się obywatelami Rzeczypospolitej, uzyskali nagle status repatriantów i wraz z całą rodziną z dnia na dzień zostali zmuszeni do opuszczenia swego domu i dobytku. Był to dla nich dalszy ciąg traumy wojennej, stracili grunt pod nogami i doświadczyli wielkiego niepokoju o przyszłość. Inni wracali do swoich domów, a stryj Mieczysław, kończąc w 1945 pod Berlinem swoją kampanię wojenną, i jego młodsze rodzeństwo nie mieli dokąd wracać, próbowali szukać jakiegoś nowego miejsca do życia. Wydaje się, że te przeżycia oraz tęsknota za Skolem stały się przyczyną przedwczesnej śmierci dziadka, Franciszka Urbańskiego w 1947 roku, niedługo po zatrzymaniu się rodziny w miasteczku Zaklików na Lubelszczyźnie. Dziadek zaakceptował to miejsce na tymczasowy - jak mówił - pobyt, żeby być możliwie blisko Skolego, bo przecież wkrótce nadejdzie czas powrotu. Nadzieje te okazały się jednak złudne. Nastąpiły ważne wydarzenia historyczne, które je ostatecznie pogrzebały.

BARŁOGLI... JESZCZE BARŁOGLI

Najpierw ogłoszono referendum, decydujące o ustroju powojennej Polski, na które wybraliśmy się całą rodziną wozem do Legbąda 30 czerwca 1946 roku. Dobrze pamiętam przytłaczający nastrój towarzyszący temu wydarzeniu. Przez oficjalną propagandę referendum było nachalnie propagowane pod hasłem „Trzy razy tak”, które zawierało sugestię takiego sposobu głosowania, jakiego tymczasowy rząd (TRJN) i jego mocodawcy sobie życzyli. Zadane pytania były sformułowane zastępczo i bardzo sprytnie: 1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu, 2. Czy jesteś za utrwaleniem reform społeczno-gospodarczych, 3. Czy chcesz utrwalenia granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej? Mam podstawy sądzić, że rodzice zachowali się podobnie jak większość Polaków, którzy zgodnie z sugestią opozycji demokratycznej powszechnie odpowiadali „nie” przynajmniej na pierwsze pytanie, choć nie wykluczam, że odpowiedzieli negatywnie na wszystkie trzy pytania. Był to bowiem jedyny dostępny wtedy sposób wyrażenia sprzeciwu nie tylko wobec samego referendum, ale też wobec terroru politycznego i bezprawnych aresztowań. Ojciec przeczuwał, że wyniki referendum zostaną sfałszowane. Mówił o tym w drodze powrotnej i był tak przygnębiony, że udzieliło się to całej rodzinie. Później ludzie opowiadali sobie o zabiegach, dokonywanych wokół

lokali i urn referendalnych. Dochodziło do nieuprawnionych zmian w składach komisji, w lokalach wyborczych byli demonstracyjnie obecni funkcjonariusze MO i UB, którzy następnie aktywnie uczestniczyli w przewożeniu urn i przeliczaniu głosów. W wojsku zaś głosowanie było jawne i odbywało się na rozkaz. Podobne manewry w sposób jeszcze bardziej bezczelny powtórzono 19 stycznia 1947 roku w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Sfałszowanie tych wyborów oznaczało legitymizację tzw. „władzy ludowej” zarówno na użytek wewnętrzny, jak i wobec Zachodu.

W społeczeństwie wywołało to poczucie bezsilności, zagrożenia i nieufności. W obliczu wszechobecnej propagandy zdobywanie i przekazywanie sobie informacji z niezależnych źródeł było coraz bardziej utrudnione. Czerpano je przede wszystkim z londyńskiej stacji BBC, nadającej audycje po polsku od czasów okupacji, a później też z Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Powtarzanie tych wiadomości, nazywane pogardliwie „szepetaną propagandą”, było napiętnowane i karane. Stanowiły one jednak antidotum na okropne zakłamanie, które opanowało życie publiczne i królowało w gazetach codziennych i rozwieszanych wszędzie hasłach propagandowych. Ojciec reagował na to alergicznie i często powtarzał wzburzony: „Nic, tylko fałsz i obłuda!” W domu było jakieś stare radio, które działało na coś w rodzaju akumulatora, który trzeba było od czasu do czasu oddawać do ładowania (do 1954 roku w Barłogach nie było prądu). Wieczorami Ojciec zwykle włączał je i z uchem przy głośniku starał się wyłowić jakieś słowa, zawzięcie zagłuszane przez przeraźliwe stuki, świsty i szумы. Urządzenia zagłuszające odbiór działały przez cały czas trwania PRL-u, a mimo to te zabronione stacje miały wielu wiernych słuchaczy.

Presja ideologiczna na inteligencję nie ominęła oczywiście środowiska leśników, ogólnie dość odpornego na infiltrację PPR (Polskiej Partii Robotniczej), całkowicie wówczas podporządkowanej Sowiетom. Leśnicy odnosili się do niej nieufnie, podobnie jak do późniejszej PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), powstałej w 1948 roku, po wchłonięciu przez PPR resztek przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej. Od 1945 roku do końca życia Ojciec był związany z ruchem ludowym, najpierw jako członek SL (Stronnictwa Ludowego), potem ZSL (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego). Bardzo cenił sobie niezależność, a w swojej zasadniczo negatywnej ocenie powojennej sytuacji politycznej w Polsce nie był odosobniony. Wśród przyjaciół nie tylko nie krył się ze swymi poglądami, ale wyrażał je bardzo emocjonalnie, co uchodziło mu jakoś płazem, jednak do czasu. Szczególnie porywczy stawał się po kieliszku. Pewnego razu, chyba w 1950 roku, popiwszy sobie z jakiejś okazji z kolegami w gospodzie w Legbądzie, stracił chyba instynkt samozachowawczy i zaczął się publicznie wygrażać. Idąc główną ulicą Legbąda, wymachiwał dubeltówką i krzyczał: „Ja was, komuniści, tacy owacy, wszystkich powystrzelam!” Dziś można się śmiać z takich bezsilnych

demonstracji, ale tamta władza z pewnością nie znała się na żartach, skończyło się więc wezwaniem na przesłuchanie i odebraniem Ojcu broni myśliwskiej. Można powiedzieć, że jak na owe czasy i tak obeszli się z nim łagodnie, ale wszyscy wiedzieliśmy, jaka to była bolesna dla niego kara, choć trzeba przyznać, że znosił ją mężnie, tym bardziej że lojalni koledzy myśliwi nie pozostawili nas bez dostaw dziczyzny, szczególnie w okresie świąt. Natomiast broń odzyskał Ojciec dopiero w latach 60., kiedy pracował już w Leśnictwie Marusza koło Grudziądza.

Wbrew pozorom znaczną odporność na indoktrynację wykazywała też młodzież szkolna, poddana szczególnej presji ideologicznej w latach 1949-53, w czasie, kiedy byłam w Liceum Ogólnokształcącym w Tucholi i mieszkałam w internacie (obecnie w tym samym gmachu mieści się Technikum Leśne). Z wpojeniem nam niektórych „idei socjalistycznych” szło lepiej, bo takie hasła jak „równość dla wszystkich ludzi”, czy „powszechny i bezpłatny dostęp do edukacji” itp. łatwo było wziąć za swoje. Gorzej jednak było ze „światopoglądem materialistycznym”. Mimo że wszyscy obowiązkowo należeli do ZMP (Związku Młodzieży Polskiej) i na pochodach pierwszomajowych śpiewali „Wyklęty powstań ludu ziemi”, na końcu, tzn. w klasie maturalnej 1952/53, i tak się okazało, że nie reprezentujemy „postępowego światopoglądu”. Wbrew zakazom cały internat wymykał się do kościoła, a pozaszkolne lekcje religii, prowadzone przez oddanego nam i mądrego katechetę, ks. Edmunda Kosznika, czy rekolekcje, prowadzone przez młodych inteligentnych księży z zewnątrz, cieszyły się większym zainteresowaniem niż potwornie nudne pogadanki ideologiczne miejscowych propagandzistów, w czasie których zadawało się na dodatek pozornie naiwne, ale niewygodne pytania. Nie odbiło się to, co prawda na maturze, bo mieliśmy kilku wspaniałych nauczycieli, więc zdaliśmy ją w większości nieźle. Ukarano nas w ten sposób, że zabroniono urządzić balu maturalnego na terenie szkoły (odbył się w auli Szkoły Podstawowej), a ponadto, do naszych podań o przyjęcie na studia dołączono fatalne opinie ideologiczne, z etykietką, że wyznajemy „reakcyjne poglądy”, co było równoznaczne z tym, że nie dostaniemy się na studia. W istocie, większość z nas dostała taką odpowiedź jak ja z Uniwersytetu Warszawskiego: „Egzamin zdała, ale nie może być przyjęta z braku miejsc”.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że młodzież w Tucholi miała to szczęście, że w obliczu ofensywy ideowej nie została pozostawiona samej sobie. Oprócz domu rodzinnego i paru świątłych nauczycieli, przyszedł jej z pomocą kościół. A trzeba wiedzieć, że w tym czasie proboszczem w Tucholi był ksiądz pułkownik Józef Wrycza, legendarny „Śmiały”, honorowy przywódca „Gryfa Pomorskiego”, wybitna osobowość i wielki autorytet moralny. Jeśli chodzi o mój indywidualny przypadek, fatalna opinia ideologiczna najwyraźniej nie przeszkadzała leśnikom. Ówczesny dyrektor Rejonu Lasów Państwowych w Tucholi, Franciszek Wencel, zatrudnił mnie, prawdopodobnie na prośbę mego Ojca, od września 1953

w Rejonie na stanowisku rachmistrza. Pracowałam tam przez rok, do czasu podjęcia studiów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, w 1954 roku, otoczona życzliwością ludzi, pod bezpośrednim kierunkiem p. Osińskiego. Miałam tam okazję poznać wielu interesujących ludzi. Po zlikwidowaniu Rejonów duża część z nich znalazła się w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, m.in. Irena Fliesowa i małżeństwo Zysnarskich.

Podsumowując, Barłogi były ważnym etapem, zarówno w życiu zawodowym Ojca, jak też w życiu każdego z członków rodziny z osobna. Z tym miejscem łączy się wiele niezapomnianych wspomnień. Oprócz letnich przyjemności, takich jak kąpiele, polowania, miodobranie, łowienie ryb czy obfitość poziomek, jagód, żurawin i grzybów, muszę osobno wymienić niezrównaną atmosferę świąt Bożego Narodzenia. Zaczynało się od tego, że spędzaliśmy z Ojcem długie jesienne wieczory wokół dużego stołu przy lampie naftowej na robieniu ozdób choinkowych z wydmuszek i kolorowego papieru, w czym Ojciec wykazywał duże mistrzostwo. Oprócz łatwych łańcuchów nauczył nas kleić trudniejsze ozdoby, różne dzbanuszki, dwojaki, pajacyki, języki, gwiazdy itp. Wyprawy z Ojcem po choinkę do lasu, a potem strojenie jej, to też był cały rytuał. Wigilię Mama przygotowywała z zachowaniem kresowych tradycji, np. zawsze była u nas kutia i pleciona bułka. A po kolacji wigilijnej i śpiewaniu kolęd szło się z Ojcem do stajni, aby obdzielić chlebem nasze zwierzęta i posłuchać, czy nie gadają ludzkim głosem. Przed północą jechało się z Mamą saniami na Pasterkę do Legbąda. Z tych wyjazdów zostało mi w pamięci absolutne piękno spokojnej zimowej nocy, zaśnieżonego lasu i wygwieżdżonego nieba oraz dźwięk dzwonek przy końskiej uprzęży. Po powrocie z Pasterki czekał na nas gorący bigos i herbata, przygotowane przez Ojca. Na Sylwestra zaprosiłam kiedyś kolegów z liceum i bawiliśmy się świetnie przy wypożyczonym od Czerwińskich z Rzepicznej starym gramofonie.

Oczywiście, życie w Barłogach nie było wyłącznie sielanką, były też chwile dramatyczne, mające związek z chorobą Mamy czy wypadkami dzieci, których najwięcej miał Janusz. Przypomnę, że nie było telefonu (przedwojenne instalacje zostały zniszczone), do najbliższego szpitala w Tucholi było 20 km, a jedynym środkiem lokomocji był koń. Trudno też pominąć bardzo ciężką sytuację materialną. Żeby zilustrować, w jakim żyliśmy niedostatku, zacytuję fragment podania o zmianę leśnictwa, skierowanego przez Ojca 1 grudnia 1947 roku do Dyrektora Okręgu Lasów Państwowych w Sopocie, w którym ze wzruszającą szczerością pisze: „Przez okupanta zostałem wygnany do tzw. Guberni, gdzie się z rodziną tułałem; powracając po działaniach wojennych na swoje miejsce służbowe, zupełnie zrujnowany, i dziś jest mi bardzo trudno wydzwignąć się, tembardziej iż dzieci tak dużo kosztują, a o ubraniach i innych rzeczach koniecznych dla dzieci niemożliwym jest nawet pomyśleć.” Mimo wszystko, w ogólnym

rozrachunku okres ten wspominamy jednak dobrze. Radością napawał sam fakt, że po wojennej tułaczce odzyskałszy dom i dom ten tętnił życiem. Jest więc naturalne, że Barłogi zachowujemy w czułej pamięci, razem z otaczającą przyrodą, ludźmi, zwierzętami, a przede wszystkim dom, który stał się dla nas gniazdem rodzinnym.

Mimo przywiązania do Barłóg myśl o zmianie leśnictwa zaczęła kiełkować dość wcześnie, a od początku lat 50. potrzeba ta stawała się coraz pilniejsza, głównie z dwu powodów: poważnej choroby Mamy i konieczności kształcenia dzieci. W Rzepicznej była tylko czteroklasowa Szkoła Powszechna, w której lekcje odbywały się w jedynej szkolnej sali, gdzie jeden nauczyciel, na początku pan Daleki, uczył równocześnie dwie łączone, choć niezbyt liczne klasy. Każda obejmowała dwie grupy wiekowe, z których jedna odpowiadała I i II klasie, druga zaś klasom III i IV. Nauczycielowi trudno było w tych warunkach nauczyć porządnie czegokolwiek, choćby ortografii. Tymczasem rodzeństwo zaczęło dorastać do wyższych etapów edukacji. Od 1947 roku rodzice opłacali już stancję starszego brata w Chojnicach, potem jego internat w Bydgoszczy, gdzie chodził do średniej Szkoły Rolniczej. W 1949 ja też wybierałam się do liceum po skończeniu dwu ostatnich klas szkoły powszechnej w Zaklikowie na Lubelszczyźnie, gdzie mieszkalam u babci Anny Urbańskiej. Utrzymanie poza domem kolejnych dzieci przekraczało możliwości domowego budżetu. Ojciec zaczął się więc starać o leśniczówkę położoną na tyle blisko miasta, żeby młodsze rodzeństwo mogło z domu dojeżdżać do miejskich szkół. Występował z wnioskami o przeniesienie m.in. do Chyloni, Lęborka, Kościerzyny, Terespoła itd. Początkowo spotykał się z odmową, motywowaną różnymi przyczynami, raz sam zrezygnował z powodu nieodpowiednich warunków mieszkaniowych.

Ojciec miał też pewną cechę, która nie ułatwiała mu realizacji tych zamierzeń. Bardzo nie lubił o nic prosić, a szczególnie źle się czuł w sytuacji petenta w urzędach. Nie dotyczyło to oczywiście Nadleśnictwa Woziwoda, które było znajome i chciało pomóc, szczególnie nadleśniczy Jan Mrozowski, który popierał na piśmie podania Ojca. Osobista wizyta w urzędzie była dla Ojca torturą, wobec czego na ogół po złożeniu drogą służbową podania, pozostawiał sprawę swemu, zwykle leniwemu, biegowi. Jeśli już koniecznie trzeba było stawić się osobiście, wysyłał w zastępstwie Mamę, a ja podczas studiów w Toruniu bywałam czasem w jego imieniu w toruńskiej Dyrekcji Lasów, gdzie spotykałam się zawsze z uprzejmością i życzliwością. Z treści listu, wysłanego przez Ojca do Dyrektora Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego w Sopocie z 22 sierpnia 1946 roku wynika, jak paląca była potrzeba przeniesienia i jak wielka musiała być determinacja Ojca, skoro podyktowała mu następujące słowa: „Już od kilku miesięcy staram się o przeniesienie mnie z Nadleśnictwa Woziwoda do innego nadleśnictwa, abym mógł kształcić swoje dzieci i leczyć ciężko chorą żonę,

która już przeszło pół roku choruje po nieudanej operacji [...] Pismo w sprawie przyjęcia mnie na sekretarza Nadleśnictwa Chylonia przedłożyłem już w Biurze Osobowym do decyzji Pana Dyrektora, a obecnie proszę gorąco o uwzględnienie mojej prośby, bo znajduję się w takiej ciężkiej sytuacji, że wychodzę z siebie i sam nie umiem zaradzić mojej biedzie. Więc pokładam całą nadzieję w osobie Pana Dyrektora z prośbą o przeniesienie mnie do Nadleśnictwa Chylonia. Pozostaję z głębokim szacunkiem, Władysław Urbański, leśniczy.” Nie wiem, jak można było odmówić takiej prośbie.

LEŚNICTWO RUDNIK

Ostatecznie przeniesienie służbowe Ojca z Barłóg do Leśnictwa Rudnik w Nadleśnictwie Chełmno nastąpiło na mocy decyzji dyrektora Bydgoskiego Okręgu Lasów Państwowych w Toruniu, o czym Ojciec został zawiadomiony pismem z 17 listopada 1954 roku. Leśniczówka, położona w odległości ok. 8 km od Grudziądza, spełniała oczekiwania rodziny, bo w oddalonym o 2 km Mniszku była kompletna Szkoła Podstawowa, a z miastem była dobra i częsta komunikacja autobusem i pociągiem. Samo położenie leśniczówki, jak i budynki nie odznaczały się specjalną urodą, za to był telefon i elektryczność, choć w domu nie było ani wody, ani kanalizacji. Na siedzibę leśnictwa zostało prawdopodobnie zaadaptowane dawniejsze gospodarstwo rolne, z którego pozostawiono w pobliżu kawałek deputatowego pola i łąki, a tuż przy domu był dobrze utrzymany sad ze starymi jabłoniemi. Obok leśniczówki, od strony zachodniej biegła szosa łącząca Stolno z Grudziądem i równoległe do niej tory kolejowe. Od wschodu zaś znajdowało się kilka małych gospodarstw, za którymi zaczynał się należący do leśnictwa las. Skrajne położenie leśniczówki w stosunku do kompleksu leśnego i jego dość duże oddalenie było sporym utrudnieniem w codziennej pracy leśniczego. Co gorsza, w praktyce leśnictwo okazało się znacznie trudniejsze niż Barłogi, a praca w nim przysparzała Ojcu wielu zgryzot. Po pierwsze, bardzo trudno było o robotników, gdyż pobliskie miasto, a szczególnie usytuowana w podmiejskim Mniszku Pomorska Odlewnia i Emaliernia wchłaniała całą okoliczną siłę roboczą, tym bardziej że oferowała lepsze płace. W tym stanie rzeczy pozyskanie robotników wymagało wiele zachodu, a kandydaci do pracy w lesie często nie spełniali oczekiwań Ojca, więc w konsekwencji stan zatrudnienia był bardzo niestabilny. Po drugie, na terenach podmiejskich częściej zdarzają się kradzieże drewna, przed którymi bardzo trudno upilnować las. Ponadto, pozycja środowiskowa leśniczego nie była tu już tak mocna jak w Barłogach, a związki z pracownikami leśnymi luźniejsze i bardziej formalne. Z tych powodów Ojciec czuł się tu gorzej. Starał się jednak pracować równie ofiarnie, a że leśnictwo było bardzo intensywne, w istocie musiał podwoić wysiłki, co nie było łatwe, bo zaczął już wtedy poważnie chorować.



Władysław Urbański, leśniczy Leśnictwa Rudnik w Nadleśnictwie Chełmno w 1957 roku.
Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej



Władysław i Jadwiga Urbańscy z dziećmi przed leśniczówką Rudnik w 1957 roku.
Fot. archiwum Marii Szuprzyczyńskiej

Praca Ojca w nowym miejscu była oceniana dobrze. Nadleśniczy Nadleśnictwa Chełmno, Leon Kisielewski, pisał w swoich opiniach, że „jest on bardzo dobrym fachowcem, sumiennym, uczciwym i zdyscyplinowanym, i nie tylko dobrze prowadzi własne intensywne leśnictwo, ale także chętnie pomaga młodszym kolegom”. W związku z tą uwagą przypomina mi się młody adept zawodu leśnika Andrzej Chmielewski, którego moi rodzice przez pół roku kwaterowali w leśniczówce. Mimo serdecznej opieki Ojca nie udało się jednak zrobić z niego leśnika. W czasie dozorowania zimą prac leśnych trudno mu było na przykład wytrzymać kilka godzin na mrozie, ale przede wszystkim miał on całkiem inne zainteresowania. Dziwnym zrzędzeniem losu później to właśnie mnie przyszło uczyć go polskiej gramatyki, gdyż po skończeniu u Ojca praktyki leśnej zgłosił się na studia polonistyczne na UMK, które z powodzeniem ukończył.

Natomiast spośród współpracujących z Ojcem bezpośrednio leśniczych z sąsiednich leśnictw, pamiętam najmłodszego jego kolegę Mieczysława Maślankę, wówczas leśniczego w Łunawach, który dość często bywał w Rudniku, oraz Zenona

Kubackiego z Leśnictwa Biały Bór. Później w zabudowaniach tego leśnictwa, już po jego likwidacji, mieszkał mój najmłodszy brat Władysław Urbański junior, zatrudniony wtedy jako leśniczy lasów prywatnych na terenie Gminy Grudziądz. Mile widzianym gościem w Rudniku był szkolny kolega i przyjaciel Ojca, Kazimierz Szlachetko, który w 1954-1958 był bezpośrednim przełożonym Ojca jako nadleśniczy w Nadleśnictwie Chełmno; później pracował jako kierownik Wydziału Leśnictwa w Powiatowej Radzie Narodowej w Chełmnie. Młodsze rodzeństwo zapamiętało go jako bardzo wesołego pana, który lubił dowcipy i chętnie żartował z dziećmi.

W Leśnictwie Rudnik Ojciec pracował siedem lat, od 1954 do 1961. W tym czasie nie byłam już codziennym uczestnikiem życia w leśniczówce, bo w latach 1954-58 studiowałam w Toruniu i bywałam w domu już tylko gościem w czasie świąt i wakacji. Pamiętam jednak różne ważne wydarzenia z tego okresu. Obchodziliśmy tu szereg uroczystości rodzinnych, m.in. przyjęcia do Komunii św. młodszego rodzeństwa. Szczególnie obfity pod tym względem był rok 1958: Srebrne Gody rodziców świętowaliśmy 30 maja 1958, w czerwcu moje magisterium, pod koniec wakacji, 23 sierpnia 1958, odbył się mój ślub z Janem Szupryczyńskim w małym kościółku w Mniszku, a w leśniczówce rodzice przyjmowali licznych gości weselnych. Później, po przyjeździe na świat w 1959 roku naszej córki Doroty, nadal korzystaliśmy z gościnności rodziców i często bywaliśmy w Rudniku, nie tylko w czasie wakacji.

LEŚNICTWO MARUSZA

Następnym, a zarazem ostatnim leśnictwem, które Ojciec objął w 1961 roku, mając 57 lat, była Marusza. Znajdowało się ono na wschód od Grudziądza, też w odległości ok. 8 km od miasta, tak że do szkół średnich rodzeństwo dojeżdżało codziennie autobusem, z wyjątkiem Anny, która uczyła się w Technikum Ogrodniczym w Pruszczu Gdańskim, gdzie mieszkała w internacie. Podobnie jak w Rudniku, zabudowania Leśnictwa Marusza sprawiały wrażenie, że było to kiedyś gospodarstwo rolne, ale jego położenie było ładniejsze. Otaczały je stare drzewa, miało uroczy staw i sad, a okoliczny krajobraz był niezwykle urozmaicony. Dom był obszerny i wygodny, więc bardzo mile wspominałyśmy spędzane tam wakacje, później już z dwiema córkami, bo w 1964 urodziła się Bogna, której chrzciny obchodziliśmy właśnie w Maruszy. Przyjeżdżał tam też z rodziną najstarszy brat Henryk, osiadły na stałe w Świdwinie. Dzieci dobrze pamiętają zabawy w ogrodzie, długie spacerunki i przejażdżki bryczką. Wielką atrakcją był dla nich koń, drobna klacz o imieniu Baśka, która nie miała zbyt dużo obowiązków, a że była dość samowolna, więc chodziła sobie samopas po okolicy, niekępowana przez nikogo. Kiedy urodziła małego źrebaczka, radości nie było końca. W tym czasie pobliska miejscowość Marusza nie była jeszcze tak znana jak dziś.

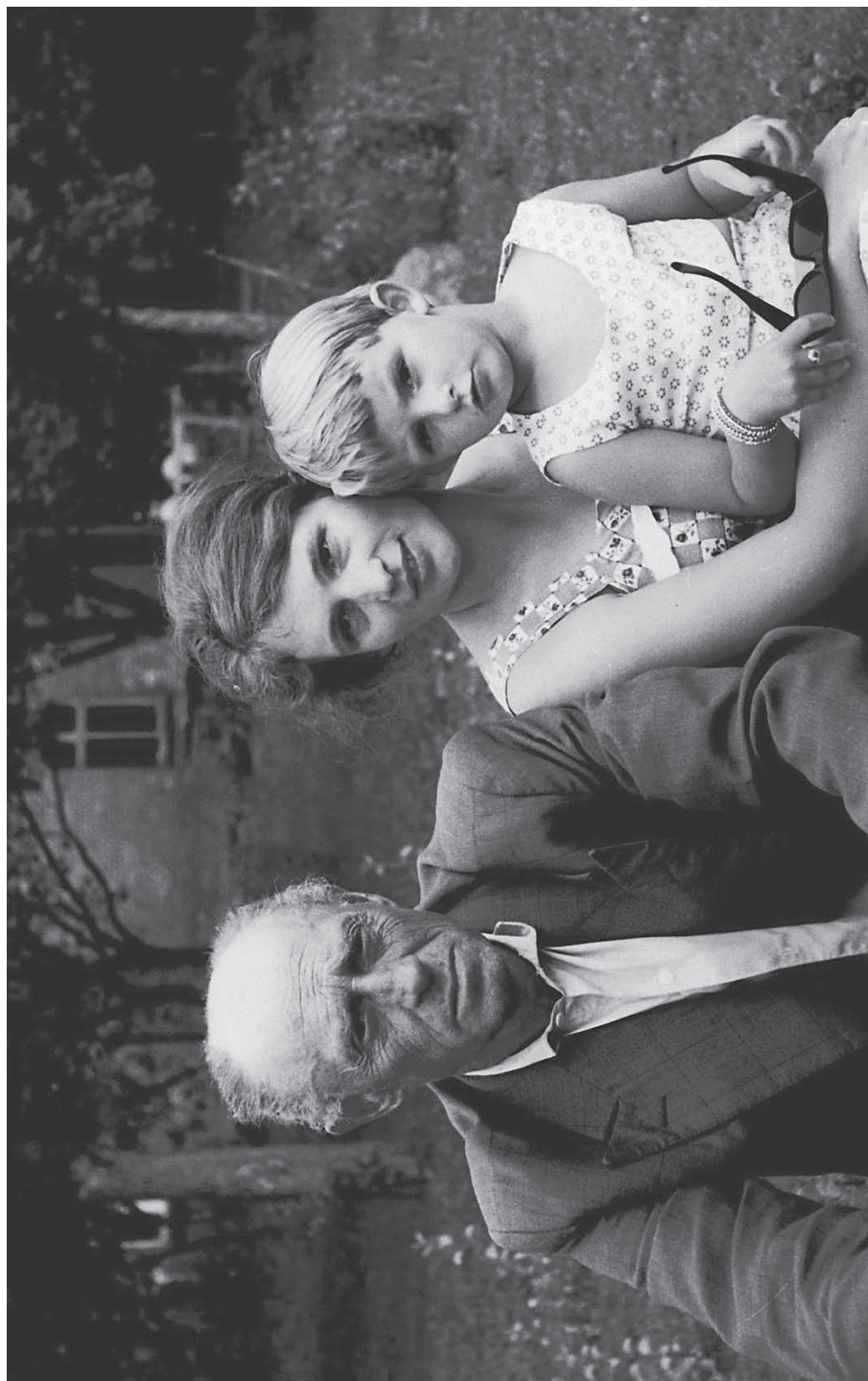
Stało się o niej głośno po odkryciu tam bogatych zasobów gorących wód mineralnych i pobudowaniu nowoczesnych urządzeń balneologicznych.

Początkowo wydawało się, że Leśnictwo Marusza jest łatwiejsze niż Rudnik i że nadaje się doskonale na okres przedemerytalny dla starszego leśniczego o nadwerżonym zdrowiu. Po wstępnym okresie entuzjazmu okazało się jednak, że należący do leśnictwa teren rozciąga się w kształcie długiej kieszki aż pod Radzyń, co zmuszało Ojca do pokonywania codziennie wielkich odległości. Na dodatek to, co mogło być atrakcją z punktu widzenia turystycznego, tzn. silnie pofałdowany i malowniczo porzeźbiony teren, było męczące w codziennej pracy. Do jego obowiązków należało dodatkowo czuwanie nad lasami prywatnymi znajdującymi się w gminie Okonin i Piaski. Mimo tych trudności przez pierwszych pięć lat radził sobie dobrze i był zadowolony. W tym czasie odzyskał też broń myśliwską, więc cieszył się i zaczął trochę polować. Mój mąż i bracia wspominają wyprawy myśliwskie w Maruszy jako duże przeżycie. Jednak z upływem lat Ojciec zaczął tracić siły i zdrowie, wyraźnie nadwerżone przez wieloletnią pracę w lesie.

Tutaj pozwolę sobie na małą dygresję. Zwykle, kiedy mowa o zawodzie leśniczego, większość z nas, mieszkańców miast, a zwłaszcza tych przywiązanych całymi dniami do biurka i komputera, ma skłonność do egzaltacji i zachwytów. Zajęcie to wydaje się takie romantyczne. Przecież leśnicy robią w ramach swych codziennych obowiązków to, co każdy z nas może robić tylko w czasie krótkich wakacji, tzn. włóczy się cały dzień po lesie, ogląda piękne widoki, spotyka dzikie zwierzęta, wdycha balsamiczne powietrze, ma ogorzałą cerę, nawet sam nie wie skąd, a jeszcze mu za to płacą. Tak jest rzeczywiście, ale to tylko jedna strona medalu i pewno rzeczywiście, m.in. z tych powodów oni tak kochają swoją pracę. Nie zapominajmy jednak, że w dni robocze leśniczy właściwie tylko wieczory i noce spędza pod dachem, a od wczesnych godzin rannych wystawia się godzinami na wiatr, deszcz, mróz, śnieg, i to bez możliwości schronienia się w tzw. pomieszczeniach socjalnych, jak to bywa np. na budowach. Współczesny leśniczy ma przynajmniej do dyspozycji samochód terenowy i wolne soboty. Mój Ojciec przez większość swego życia zawodowego nie miał wolnych sobót, wstawał o świcie, chodził po lesie pieszo lub jeździł rowerem, dopiero w Rudniku dorobił się dość prymitywnego motocykla SHL. Na ogół nie jadał regularnie posiłków i nieraz wracał do domu całkiem przemoczony i zziębnięty do szpiku kości, co nie mogło nie zaważyć na jego zdrowiu.

OSTATNI ETAP

Po kilku latach pracy w Maruszy Ojciec poczuł, że z poruszaniem się po trudnym terenie radzi sobie coraz gorzej, szczególnie po wypadku ze złamaniem nogi. Wydawało się, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie rezygnacja z pracy na stanowisku czynnego leśniczego w terenie i podjęcie pracy biurowej



Leśniczy Władysław Urbański z córką Marią i wnuczką Dorotą przed leśniczówką Marusza w 1964 roku. Fot. archiwum Marii Szuprzyńskiej



Założa Nadleśnictwa Chełmno w 1968 roku. Pierwszy z lewej siedzi Władysław Urbański. Fot. archiwum Marii Szupryczyńskiej

w Nadleśnictwie Chełmno, gdzie wszystkich dobrze znał i czuł życzliwą dla siebie atmosferę. W roku 1967 podjął więc oficjalne starania o zmianę statusu zawodowego i przyjęcie do pracy w biurze nadleśnictwa. Równocześnie rodzice zaczęli powoli likwidować gospodarstwo i przygotowywać się do opuszczenia leśniczówki Marusza. Wcześniej nabyli kawałek gruntu w pobliżu Leśnictwa Rudnik i zaczęli tam budować niewielki dom z myślą o emeryturze. W chwili, gdy trzeba było opuścić leśniczówkę, dom był już gotowy. Rodzice przenieśli się do niego jakiś czas po otrzymaniu z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu oficjalnego pisma, z datą 19 września 1967, potwierdzającego zatrudnienie Ojca w biurze Nadleśnictwa Chełmno, gdzie pracował do grudnia 1969, czyli do momentu przejścia na emeryturę, najpierw na stanowisku instruktora technicznego, a w ostatnim roku leśniczego służby zewnętrznej. Zakończył więc swoją zawodową drogę leśnika podobnie, jak ją zaczynał w młodości w biurze Nadleśnictwa Świt.

Mimo konieczności codziennych dojazdów pociągiem lub autobusem do Chełmna, na dystansie ok. 20 km, w pracy tej czuł się bardzo dobrze, w czym na pewno jest duża zasługa kolegów z biura, którzy przyjęli go bardzo dobrze. Pamiętam pewien drobny szczegół, który to potwierdza. 27 czerwca 1968 roku, jadąc do rodziców do Rudnika, wysiadłam na dworcu w Mniszku i spotkałam Ojca wracającego z Chełmna, więc poszliśmy razem do domu, jeszcze ok. 2 km. Miał w ręku bukiet kwiatów i opowiadał mi, że koledzy urządzili mu z okazji jego dzisiejszych imienin małą uroczystość. Widać było, jaką wielką mu to sprawiło przyjemność, bo przecież wcześniej, w lesie nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Był tak przejęty, że dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że ja tego samego dnia rano miałam w Toruniu na UMK obronę swojej pracy doktorskiej. Był ze mnie dumny i gratulował mi „doktoratu w kieszeni”.

W ostatnim roku pracy w Chełmnie Ojciec osiągnął wiek emerytalny, 17 października 1969 roku skończył 65 lat. Wtedy już sporo chorował, o czym świadczą dość częste zwolnienia lekarskie. Mimo, że chodził do lekarza, zachowywał zwykłą pogodę ducha, był czynny, nigdy się nie skarżył i nie mówił o swoim zdrowiu, więc nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jak bardzo złym jest stanie. Emeryturą cieszył się tylko trzy miesiące. Pierwszym dniem emerytury był 1 stycznia 1970 roku. Zima tego roku była bardzo długa i ciężka. Kiedy przyjechaliśmy do rodziców na Wielkanoc, która wypadła w tym roku wcześniej, bo 27-28 marca, wszędzie leżał jeszcze dość głęboki, stwardniały śnieg. Drugiego dnia Świąt Ojciec poszedł z nami wszystkimi na długi spacer do lasu, w czasie którego przerzucał się z moim mężem łacińskimi nazwami drzew, a pamiętał je nad podziw dobrze. Wieczorem towarzyszył nam przy stole, kiedy rozmawialiśmy, śmialiśmy się, graliśmy z rodziną w karty itp. Był jednak bardzo wyciszony, jakoś wewnętrznie skupiony. Pamiętam, że miał w ręku książkę i mało się odzywał. Zaraz po świętach,

29 marca pożegnaliśmy się z rodzicami i wróciliśmy do Torunia, niczego złego nie przeczuwając. Telefon o jego śmierci otrzymaliśmy od Mamy następnego dnia, 30 marca 1970 roku po południu. Zmarł nagle na piaszczystej dróżce, obrzeżonej dekoracyjnie wierzbami, w pobliżu domu, wracając rowerem od sąsiadów. Trudno było w to uwierzyć. Wśród żegnających oprócz żony, dzieci i wnuków była jego matka, bracia i siostry oraz sąsiedzi. Nie zabrakło przyjaciół leśników, którzy nieśli jego trumnę. Został pochowany na cmentarzu w Grudziądzu.

Podziękowanie

Powyższy tekst nie powstałby bez życzliwości i pomocy wielu osób, którym chciałabym tu wyrazić moją wdzięczność. Serdeczne podziękowanie kieruję przede wszystkim do Redaktora Biuletynu RDLP w Toruniu, Tadeusza Chrzanowskiego, za udostępnienie mi wielu materiałów archiwalnych, w tym kopii dokumentów służbowych Ojca, za stałą gotowość pomocy i jej skuteczność oraz za zaproszenie do publikacji w Biuletynie, a także dyskretne czuwanie nad realizacją tematu. Mojemu rodzeństwu, a także rodzeństwu Ojca, dziękuję za współudział w poszukiwaniu starych fotografii i wydobywaniu z pamięci różnych zapomnianych szczegółów. Andrzejowi Tomczakowi, profesorowi UMK w Toruniu, Marzenie Kruk z IPN w Gdańsku oraz Paniom z Fundacji Generał Zawackiej w Toruniu dziękuję za konsultację historyczną, a mojemu mężowi, córkom i wnukom za wierne kibicowanie temu przedsięwzięciu.

Maria Szupryczyńska